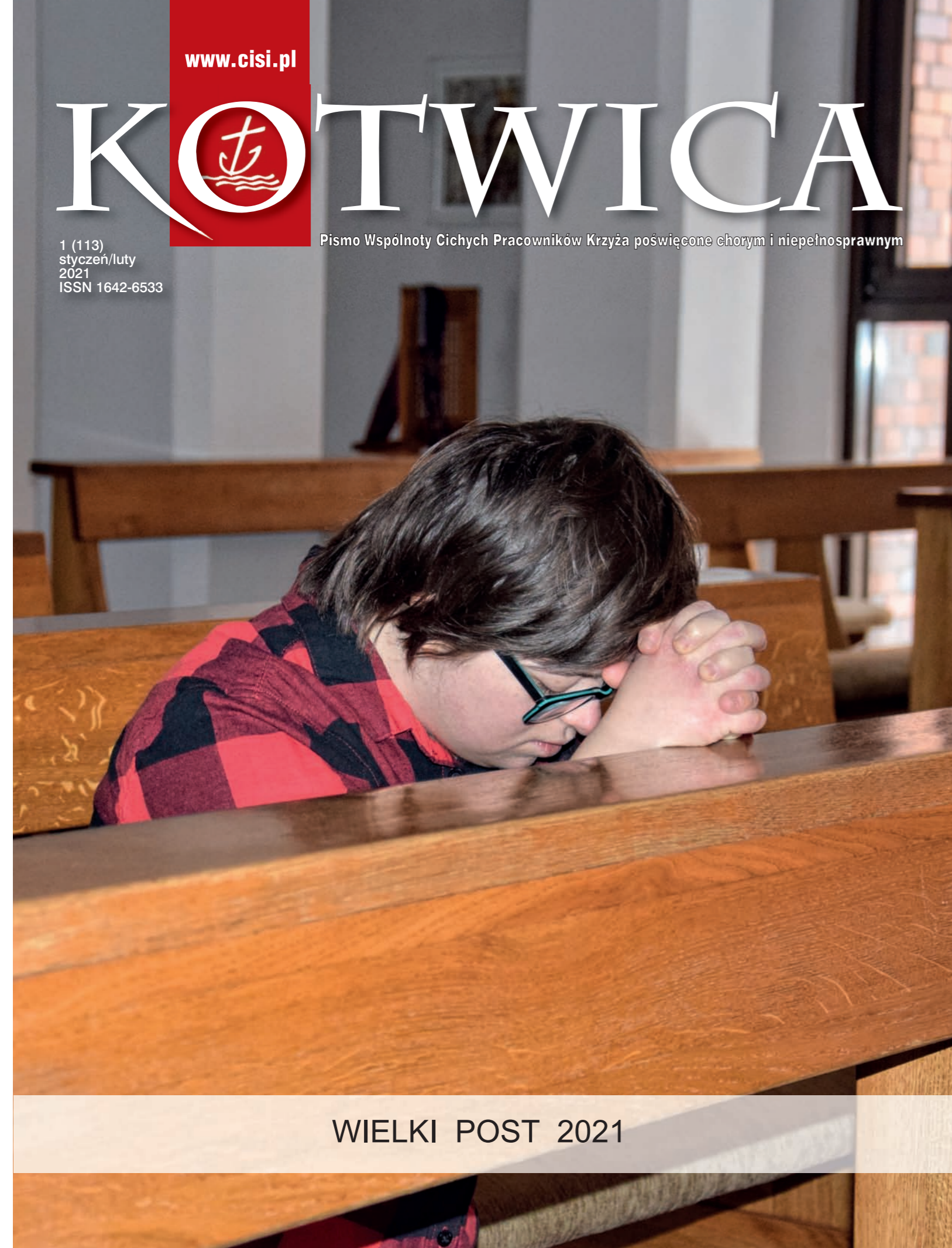


www.cisi.pl

KOTWICA

1 (113)
styczeń/luty
2021
ISSN 1642-6533

Pismo Wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża poświęcone chorym i niepełnosprawnym



WIELKI POST 2021



Drodzy bracia i siostry, przykazanie miłości, które Jezus pozostawił swoim uczniom, znajduje konkretną realizację także w relacji z chorymi. Społeczeństwo jest bardziej ludzkie, jeśli potrafi bardziej zatroszczyć się o swoich słabych i cierpiących członków, a zdoła czynić to skutecznie, będąc ożywione miłością braterską. Dążmy do tego celu i sprawmy, aby nikt nie został pozostawiony sam sobie, aby nikt nie czuł się wykluczony lub opuszczony.

Papież Franciszek,
Orędzie na XXIX Światowy Dzień Chorego



KOTWICA

Nr 1 (113) styczeń / luty 2021

Wydawca:

CISI PRACOWNICY KRZYŻA

ul. bł. Luigiego Novarese 2, 67-200 Głogów

tel. 76 833 32 97 tel./fax 76 832 25 87

e-mail: cpk@lg.onet.pl;

www.cisi.pl, www.kotwica.cisi.pl, www.luiginovarese.org

Ofiara na działalność charytatywną wspólnoty:

BZWBK SA I/O Głogów

Nr konta: 66 1090 2079 0000 0005 4404 4515

Redaktor naczelny:

ks. Janusz Małski SOdC

s. Małgorzata Małska SOdC

Redaktor wydawniczy:

Izabela Rutkowska

Zespół redakcyjny:

Mieczysław Guzewicz

s. Ewa Figura SOdC

s. Beata Dyko SOdC

ks. Radosław Horbatowski

Adam Stelmach

Korekta:

Joanna Szalapska-Jaskuła

Współpraca przy obecnym numerze:

Br. Apollinaire Domara SOdC

Jadwiga Kuśnierz

Jolanta Maćkowska

Ewa Gałka

Iwona Cymerman

Krzysztof Goszcz

Krzysztof Małek

S. Wioletta Witkowska SOdC

Okladka przednia: ????

Współpraca z czasopiśmie L'Ancora – Rzym
Nakład: 6000 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiacji
artykułów i listów, dokonywania skrótów
i zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych
redakcja nie zwraca.



Państwowy Fundusz
Rehabilitacji Osób
Niepełnosprawnych
Dwumiesięcznik
dofinansowany
ze środków PFRON

SPIS TREŚCI

PRZESŁANIE

3 Ks. Luigi Garosio SOdC DRODZY CZYTELNICY!

TRWAŁE PRZEWODNICTWO

4 Mieczysław Guzewicz ROK ŚWIĘTEGO JÓZEFA

8 S. Karolina Pałys SOdC BYĆ BLISKO OSOBY POTRZEBUJĄCEJ

FUNDAMENTY

10 Papież Franciszek ORĘDZIE NA ŚWIATOWY DZIEŃ CHOREGO

WSPOMNIENIA

14 Iwona Cymerman WAŻNY BYŁ DLA NIEGO BÓG W DRUGIM CZŁOWIEKU

16 Ewa Gałka WSPÓLNY CHARYZMAT

18 Krzysztof Goszcz NIEZWYKŁE SPOTKANIA Z KS. JANUSZEM MAŁSKIM

20 TS. Wioletta Witkowska SOdC KS. JANUSZ – „SIEWCA”

WIADOMOŚCI

22 Jadwiga Kuśnierz, Jolanta Maćkowska DLA WSZYSTKICH STARCZY MIEJSCA...

WYWIAD

26 Br. Apollinaire Domara SOdC CHCĘ BYĆ KAPŁANEM ZAANGAŻOWANYM...

ŚWIADECTWO

30 Br. Apollinaire Domara SOdC GŁOGÓW – DOŚWIADCZENIE WIARY...

POSTAĆ

32 S. Beata Dyko SOdC KOCHANA SIOSTRO ELVIRO!

34 Anna BĘDĘ DZIAŁAŁ PO ŚMIERCI. O DZIEŁACH WENANTEGO KATARZYŃCA

KULTURA

36 S. Beata Dyko SOdC Z DEPRESJI DO WIARY

38 Wydawnictwo „Jezu Ufam Tobie” MÓDLMY SIĘ O UZDROWIENIE

DUCHOWOŚĆ

40 Mieczysław Guzewicz CIERPIENIE JÓZEFA – CZĘŚĆ 3

48 MÓDLMY SIĘ O NADZIEJĘ

NASZA PRZYSTAŃ

44 NASZA AKTYWIZACJA

45 TŁUSTY CZWARTEK

46 WALENTYNKI

47 WIELKI POST

PRZESŁANIE

Ks. Luigi Garosio SOdC Moderator generalny Cichych Pracowników Krzyża



DRODZY CZYTELNICY!

Myśli, które towarzyszą mi w tych tygodniach, zostały zainspirowane Listem apostolskim *Patris Corde* – „z sercem ojca”. Papież Franciszek dedykuje go św. Józefowi. Tym dokumentem, który otrzymaliśmy 8 grudnia 2020 roku, papież ustanowił obecny rok Rokiem Świętego Józefa. Uczynił to z okazji 150. rocznicy ustanowienia tego świętego patronem Kościoła.

Nasz Założyciel, bł. Luigi Novarese, przyjąłby ten list z wielką radością. On także wybrał św. Józefa na patrona naszego stowarzyszenia. I jeszcze zanim Kościół wprowadził jego wspomnienie obowiązkowe do liturgii, ks. Luigi w każdą środę odprawiał specjalną mszę św. jemu właśnie dedykowaną. Zawsze polecał nam, abyśmy regularnie przyzywali pomocy św. Józefa, modląc się tą piękną modlitwą: „O chwalebny patriarcho św. Józefie...”. W tym czasie pandemii i załamania wiary ten Opiekun Zbawiciela (jak o nim pisze św. Jan Paweł II) niech swoim przykładem wskaże nam drogę.

Wobec nieoczekiwanej ciąży Maryi jej narzeczonemu nie traci ducha.

Ileż to razy rozczarowania i zniechęcenie dotykały naszego serca, sprawiając, że czuliśmy się przynębnieni. Historia naszego stowarzyszenia uczy nas jednak, że nawet najcięższe problemy, jakie spotykaliśmy na swojej drodze, zostały w efekcie przezwyciężone. Bł. Novarese oraz siostra Elvira – podobnie jak św. Józef – nie tracili ducha.

„Jedynie Pan – pisze papież Franciszek – może dać nam moc, aby przyjąć życie takim, jakim jest, aby uczynić miejsce także dla tej przeciwstawnej, nieoczekiwanej, rozczarowującej części naszego istnienia. Przyjście Jezusa między nas jest darem Ojca, aby każdy mógł się pojednać z rzeczywistością swojej historii, nawet jeśli jej do końca nie rozumie” (nr 4).

Przeżyjmy ten rok, pozostając wiernymi własnej historii, historii naszej wspólnoty i naśladowując odwagę św. Józefa.

„Józef odkłada na bok swoje rozumowanie, aby uczynić miejsce dla tego, co się dzieje, choć może mu się to zdawać tajemnicze, akceptuje, bierze za to odpowiedzialność i godzi się ze swoją historią. Jeśli nie pogodzimy się z naszą historią, nie będziemy w stanie uczynić żadnego następnego kroku, ponieważ zawsze pozostaniemy zakładnikami naszych oczekiwań i wynikających z nich rozczarowań” – pisze papież w punkcie nr 4 Listu.

ROK ŚWIĘTEGO JÓZEFA

Ćwiczenia duchowe ze świętym Józefem

Mieczysław Guzewicz



Zapewne dla wielu z nas ogłoszenie przez Papieża Franciszka Roku Świętego Józefa było zaskoczeniem. Historyczne uzasadnienie tej decyzji jest dosyć oczywiste. 8 grudnia 1870 roku błogosławiony Pius IX ogłosił świętego Józefa Patronem Kościoła Katolickiego. W grudniu ubiegłego roku przypadała więc okrągła 150. rocznica tej ważnej decyzji. Można było się spodziewać dostrzeżenia tego faktu, wspomnienia o tym na audyencji, może odprawienia uroczystej mszy, oczywiście z zachowaniem wymogów wynikających z pandemii. Jednak obecny namiestnik świętego Piotra widział to inaczej. Zdecydował się na ogłoszenie roku poświęconego Cieleści z Nazaretu i napisanie Listu Apostolskiego „Patris Corde”.

TRWAŁE PRZEWODNICTWO

Decyzja ta wzbudziła we mnie wielką radość, której spotęgowanie nastąpiło 27 grudnia 2020 roku, kiedy Franciszek ogłosił, że od 19 marca tego roku obchodzić będziemy Rok Rodziny. Odczytuję to jako szczególny znak czasu, a więc sytuację, gdzie Bóg chce do nas przemówić przez wydarzenia pragnąc przekazać nam coś ważnego. Pośród wielu interpretacji tych znaków, moja jest taka, że próbuje się nam mocno przypomnieć, iż niezależnie od okoliczności zewnętrznych, stopnia i rodzaju różnych zagrożeń, źródeł i skali odczuwanego lęku, niezachwianym oparciem dla każdego z nas ma być rodzina, której patronem jest święty Oblubieniec Maryi.

We wstępie do wspomnianego Listu Papież podaje dodatkowe uzasadnienie decyzji o ustanowieniu Roku św. Józefa: „Pragnienie to narastało w ciągu minionych miesięcy pandemii, w których możemy doświadczyć, pośród dotykającego nas kryzysu, że nasze życia są tkane i wspierane przez zwykłe osoby – zazwyczaj zapomniane – które nie występują w tytułach gazet i magazynów ani na wielkiej scenie ostatniego show, lecz niewątpliwie dziś zapisują decydujące wydarzenia na kartach naszej historii”.

Gorąco zachęcam do przeczytania tego dokumentu, krótkiego i napisanego bardzo przystępnym językiem, z którego przebija wielka wrażliwość, delikatność i zatroskanie obecnego Zwierzchnika Kościoła. Lektura tych słów pobudza do głębokiej refleksji i wywołuje wrażenie, że jest to zapis nauk rekolekcyjnych, mocno wewnątrznie poruszających i przynaglających do zastanowienia się nad swoim życiem, do przewartościowania go i jaśniejsze spoj-

rzenie na cel, do którego zmierzamy. Adresatami Listu nie są bynajmniej mężczyźni, lecz wszyscy uczniowie Jezusa. Papież podkreśla, że: „Wszyscy mogą znaleźć w św. Józefie, mężu, który przechodzi niezauważony, człowieku codziennej obecności, dyskretnej i ukrytej, orędownika, pomocnika i przewodnika w chwilach trudnych. Święty Józef przypomina nam, że ci wszyscy, którzy są pozornie ukryci lub na 'drugiej linii', mają wyjątkowy, czynny udział w historii zbawienia”.

Jak wskazuje tytuł dokumentu wydanego na Rok Świętego Józefa, rozważania koncentrują się na głębi ojcowskiego serca. W siedmiu punktach tekstu Papież przybliży nam przymioty dobrego, szlachetnego ojca, chcąc delikatnie przypomnieć, że najważniejszą częścią prze-



stawił nam Jezus, koncentruje się na obrazie Ojca. Najpierw w modlitwie Pańskiej Chrystus nakazuje nam właśnie tak nazywać Wszechmocnego, a następnie w wielu momentach swojego ziemskiego życia właśnie tak się zwraca do Stworzyciela mówiąc, że przyszedł, aby wypełnić wolę Ojca. Kulminacją przybliżania idei ojcowskiej relacji, w którą mamy się mocno wpatrywać, była modlitwa w Ogrodzie Oliwnym, w czasie której wybrzmiewają dramatyczne słowa: „Abba, Ojcze, dla Ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie! Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty niech się stanie” (Mk 14, 36) oraz przejmujące słowa wypowiedziane w czasie agonii: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego” (Mt 23, 46).

Papież Franciszek wyraźnie pokazuje, że św. Józef, milczący i pokorny, odzwierciedla w sobie naj-



szlachetniejsze cechy ojca, stając się nie tylko opiekunem Jezusa, ale też ziemską ikoną Wszechmogącego Boga.

Najpierw wskazuje, za św. Papieżem Pawłem VI, że Józef objawia się nam jako Ojciec Umiłowany, który „uczynił ze swego życia służbę, złożył je w ofierze tajemnicy wcielenia i związanej z nią odkupieńczej misji; postąpił się władzą, przysługującą mu prawnie w Świętej Rodzinie, aby złożyć całkowity dar z siebie, ze swego życia, ze swej pracy; przekształcił swe ludzkie powołanie do rodzinnej miłości w ponadludzką ofiarę z siebie, ze swego serca i wszystkich zdolności, w miłość oddaną na służbę Mesjaszowi, wzrastającemu w jego domu”.

Następnie stara się nam mocno uzmysłowić, przez cechę ojcowskiej czułości, że:



Zbyt często myślimy, że Bóg polega tylko na tym, co w nas dobre i zwycięskie, podczas gdy w istocie większość Jego planów jest realizowana poprzez nasze słabości i pomimo nich.

Dlatego, pisze dalej Franciszek: „ważne jest spotkanie z Bożym miłosierdziem, zwłaszcza w sakramencie pojednania, gdzie doświadczają się prawdy i czułości”.

W kolejnym punkcie Listu wyeksponowana jest niezwykle ważna cecha ojca, szczególnie obecna w życiu Ciesli z Nazaretu, jaką jest posłuszeństwo. Często budzi się w nas przekonanie, że teksty biblijne niewiele mówią nam o ziemskim ojcu Jezusa. Rzeczywiście samego tekstu poświęconego tej osobie nie ma zbyt dużo w Ewangelii, ale bez trudu można dostrzec, że słowa natchnione pokazują nam w postawie Józefa to, co najistotniejsze. Do takich cech bez wątpienia na pierwszym miejscu zaliczyć musimy pokorne poddanie się woli Boga. W historii dzieciństwa Jezusa Anioł przemawia do Maryi je-

den raz, do Jej męża cztery. W każdym z tych przypadków jest to bardzo zwięzły i konkretny komunikat: zrób to i to. Józef natychmiast przystępuje do realizacji, choć w samym wypełnianiu polecenia ma bardzo duży margines swobody i sporo miejsca na autonomiczne decyzje.

Wiele możemy się nauczyć także, wpatrując się w postawę Józefa jako ojca przyjmującego i akceptującego. Jakże klarownie i przekonująco brzmią słowa: „Józef odkłada na bok swoje rozumowanie, aby uczynić miejsce dla tego, co się dzieje, choć może mu się to zdawać tajemnicze (...). Życie duchowe, ukazywane nam przez Józefa, nie jest drogą, która wyjaśnia, ale drogą, która akceptuje”. I nieco dalej: „Akceptacja życia w ten sposób wprowadza nas w ukryty sens”.

Nietrudno dostrzec, że w takim sposobie wyeksponowania nam tej niezwykle ważnej cechy, my, którzy przyglądamy się dziełu bł. Luigiego Novarese, dostrzegamy pełną zbieżność nauczania Prata z myślą Papieża Franciszka. Założyciel wspólnoty Cichych Pracowników Krzyża, mocno motywowany treścią objawień Maryjnych, nie przestawał nakłaniać wyznawców Jezusa, aby pokornie zaakceptowali każdy rodzaj cierpienia i wszelkie przeciwności losu, przyjęli je w duchu pokuty i ofiarowali jako zadośćuczynienie za grzechy. Franciszek nieomal w sposób poetycki ujmuje to jeszcze w taki

TRWAŁE PRZEWODNICTWO

sposób: „I nie ma znaczenia, czy obecnie wszystko zdało się przybrać zły obrót i czy pewne rzeczy są teraz nieodwracalne. Bóg może sprawić, że kwiaty zaczną kiełkować między skałami. Nawet jeśli nasze serce coś nam wyrzuca, On „jest większy od naszego serca i zna wszystko” (1 J 3, 20).

Z podobną treścią ważnego przesłania nawiązującego do odkrywania wartości cierpienia spotykamy się w kolejnym punkcie zatytułowanym: „Ojciec z twórczą odwagą”. Papież pisze:



Jeśli czasami Bóg zdaje się nam nie pomagać, nie oznacza to, że nas opuścił, ale że pokłada w nas ufność i w tym, co możemy zaplanować, wymyślić, znaleźć. Jest to ta sama odwaga twórcza, jaką wykazali się przyjaciele paralityka, którzy, by przedstawić go Jezusowi, spuścili go z dachu (por. Łk 5, 17-26).

Dobry Ojciec oczekuje od nas odważnej kreatywności w patrzeniu na różne przeciwności losu, zaangażowania tam, gdzie jest to tylko możliwe, niezależnie od rodzaju osobistych niedogodności. Niemałą ilość wielkich dzieł w Kościele inicjowały i rozwijały osoby bardzo mocno doświadczone cierpieniem, czasami nawet niewstające z łóżka przez kilkadziesiąt lat.

Bardzo aktualne i potrzebne jest przypomnienie nam, że w doczesnym życiu człowieka bardzo istotna jest praca. Papież pochyla się nad tym zagadnieniem w kolejnym punkcie dokumentu, pokazując ojca jako człowieka pracy. Pisze do nas, że: „Józef był cieślą, który uczciwie pracował, aby zapewnić utrzymanie swojej rodzinie. Od niego Jezus nauczył się wartości, godności i radości tego, co znaczy móc spożywać chleb, który jest owocem własnej pracy”. Czytając Ewangelię, bardzo wyraźnie widzimy Jezusa jako osobę ciężko pracującą, nieoszczędzającą sił i czasu, wędrującą, nauczającą, czyniącą cuda, wrażliwą i oddaną dziełu, do którego został posłany. Nie

możemy mieć wątpiwości, że właściwego podejścia do pracy nasz Pan nauczył się od swojego ziemskiego ojca. Wybrzmiewa tu także ważne przypomnienie, że praca jest uczestnictwem w dziele zbawienia, daje możliwość realizacji postawy służby na rzecz społeczeństwa i wspólnoty.

W punkcie ostatnim napotykamy na bardzo istotne podkreślenie, że wszyscy jesteśmy powołani do bycia cieniem ojca, ukazywania na miarę naszych możliwości zarysu, konturu, kształtu Tego, który nas oświeca. Osiągnąć to można nade wszystko przez dar z siebie. Przeczytać tu możemy, że: „Każde prawdziwe powołanie rodzi się z daru z siebie, który jest dojrzwaniem zwyczajnej ofiarności”. Płaszczą realizację takiej postawy może być zarówno rodzicielstwo, jak i kapłaństwo, życie konsekrowane oraz powołanie do samotności.

W zakończeniu dokumentu Papież pisze:



Celem tego Listu apostolskiego jest wzbudzenie większej miłości dla tego wielkiego Świętego, abyśmy byli zachęcani do modlitwy o jego wstawiennictwo i do naśladowania jego cnót i jego zaangażowania (...). Święci pomagają wszystkim wiernym do osiągnięcia świętości i doskonałości własnego stanu. Ich życie jest konkretnym dowodem na to, że można żyć Ewangelią.

Bez trudu możemy także dostrzec w Liście apostolskim *Patris Corde* jeszcze inne przesłanie. W oparciu o życie świętego Józefa Papież Franciszek przybliży nam to, co w życiu każdego człowieka wierzącego jest najważniejsze, wskazuje na fundamentalne zasady, którymi powinniśmy się kierować. Dlatego jeszcze raz pozwolę sobie na koniec, zachęcając od przeczytania i zastanowienia się nad zapisanymi słowami, nazwać te treści niezwykle rekolekcjami, ćwiczeniami duchowymi, których wszyscy dzisiaj bardzo potrzebujemy.



Być blisko osoby potrzebującej

s. Karolina Patys SOdC

Papież Franciszek w swoim orędziu na XXIX Światowy Dzień Chorego, po raz kolejny kieruje do nas ważne słowa.

Pisząc swoje orędzie, Ojciec Święty inspirowany jest fragmentem Ewangelii według świętego Mateusza. Jest w nim mowa o faryzeuszach, którzy wywyższając się nad

innymi, stawiają im wymagania, a sami pozostają bierni (por. Mt 23, 1-12). Mówią, jak postępować, ale sami tak nie czynią – ich postawa zostaje jasno określona mianem obłudnej. Tymczasem Jezus pokazuje nam jasno, że nasz stosunek do drugiego powinien być zgoła odmienny. Ważna jest relacja z dru-

gim człowiekiem, zatrzymanie się w codziennym pędzie, poświęcenie drugiemu swojego czasu.

Papież pisze: „Wobec sytuacji potrzeby brata i siostry, Jezus przedstawia wzór zachowania całkowicie przeciwny obłudzie. Proponuje, by zatrzymać się, wysłuchać, nawiązać bezpośrednią i osobistą relację

TRWAŁE PRZEWODNICTWO

Fotografie z Domu „Uzdrowienie Chorych” w Głogowie



Zatroszczyć się o cierpiącego i zaangażować się w jego cierpienie, to także dać mu narzędzia, by – kierując się słowami bł. Lugięgo Novarese – stał się on aktywnym podmiotem działania także w cierpieniu. Należy zrobić wszystko, by ulżyć osobie cierpiącej, uświadamiając jej jednocześnie, że Jezus jest tym, który cierpiał pierwszy, cierpiał z miłości do nas i dlatego nie zostawia nikogo samego w żadnym cierpieniu. Co jest nam potrzebne, żeby te słowa miały swoje odzwierciedlenie w praktyce?

Dalej Ojciec Święty pisze: „Bliskość jest tak naprawdę cennym balsamem, który daje wsparcie i pocieszenie tym, którzy cierpią w chorobie. My, chrześcijanie, przeżywamy bliskość jako wyraz miłości Jezusa Chrystusa, *Dobrego Samarytanina*, który ze współczuciem stał się bliskim dla każdego człowieka zranionego przez grzech. Zjednoczeni z Nim przez działanie Ducha Świętego jesteśmy powołani, by być miłosiernymi jak Ojciec i miłować zwłaszcza naszych braci chorych, słabych i cierpiących (por. J 13, 34-35). Słowa o Jezusie, który nas kocha, często są niewystarczające. To my, którzy towarzyszymy osobie cierpiącej, przez swoją obecność możemy i powinniśmy stać się dla niej jak Chrystus, który kochając ludzi, chce się posłużyć właśnie nami, by tę miłość okazać cierpiącemu.

Chciałabym podkreślić, że pomagając drugiemu i wchodząc z nim w relację, nie tylko dajemy coś od siebie, ale również otrzymujemy. Od wielu chorych i cierpiących możemy nauczyć się swego rodzaju przewartościowania naszych priorytetów, poprzez docenianie małych rzeczy życia codziennego.

Zakończę słowami siostry Małgorzaty Chmielewskiej, przełożonej wspólnoty „Chleb Życia”, w której udzielana jest pomoc wielu bezdomnym, chorym i niepełnosprawnym. „Jeśli potrafimy pisać i czytać, jeśli żyjemy w Polsce, gdy mówimy w przynajmniej jednym języku obcym, bomby nam nie lecą na głowę, gdy mamy działający umysł – naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest pomoc słabszym”.

z drugim człowiekiem, poczuć dla niego czy dla niej empatię i wzruszenie, zaangażować się w jego cierpienie do tego stopnia, by zatroszczyć się o niego w posłudze (por. Łk 10, 30-35)”.

Relacja zaufania u podstaw opieki nad chorymi

Orędzie papieża Franciszka na XXIX Światowy Dzień Chorego 2021 r.

Jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście (Mt 23, 8).

Drodzy Bracia i Siostry!

Obchody XXIX Światowego Dnia Chorego, które odbędą się 11 lutego 2021 r., we wspomnienie Najświętszej Maryi Panny z Lourdes, to odpowiedni moment, by zwrócić szczególną uwagę na chorych i na tych, którzy się nimi opiekują, zarówno w miejscach przeznaczonych na ich pielęgnację, jak i na łonie rodziny czy wspólnot. Nasze myśli kierujemy w szczególności do tych, którzy na całym świecie cierpią z powodu skutków pandemii koronawirusa. Wszystkim, zwłaszcza najuboższym i usuniętym na margines wyrażam moją duchową

bliskość, zapewniając o trosce i miłości Kościoła.

1. Temat tego dnia czerpie inspirację z fragmentu Ewangelii, w którym Jezus krytykuje obłudę tych, którzy mówią, ale nie czynią (por. Mt 23, 1-12). Kiedy wiara sprowadza się do pustej retoryki, nie angażując się w historię i potrzeby drugiego, wówczas brakuje spójności między wyznawaną wiarą a prawdziwym życiem. Jest to poważne zagrożenie. Dlatego Jezus używa mocnych wyrażań, aby ostrzec przed niebezpieczeństwem popad-

nięcia w bałwochwalstwo samego siebie i stwierdza: „Jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście” (w. 8).

Krytyka, którą Jezus kieruje do tych, którzy „mówią, a nie czynią” (w. 3) jest zbawienna zawsze i dla wszystkich, ponieważ nikt nie jest odporny na zło obłudy, zło bardzo poważne, które uniemożliwia nam rozwój jako dzieci jedyne Ojca, powołane do życia powszechnym braterstwem.

Wobec sytuacji potrzeby brata i siostry, Jezus przedstawia wzór zachowania całkowicie przeciwny



Dzień Chorego w sanktuarium maryjnym w Rokietnie

obłudzie. Proponuje, by zatrzymać się, wysłuchać, nawiązać bezpośrednią i osobistą relację z drugim człowiekiem, poczuć dla niego czy dla niej empatię i wzruszenie, zaangażować się w jego cierpienie do tego stopnia, by zatroszczyć się o niego w postudze (por. Łk 10, 30-35).

2. Doświadczenie choroby sprawia, że odczuwamy naszą bezradność, a jednocześnie wrodzoną potrzebę drugiego człowieka. Jeszcze wyraźniejszym staje się fakt, iż jesteśmy stworzeniem i w sposób oczywisty odczuwamy naszą zależność od Boga. Gdy jesteśmy chorzy, niepewność, strach a niekiedy przerażenie przenikają bowiem nasze

umysły i serca. Znajdujemy się w sytuacji bezsilności, ponieważ nasze zdrowie nie zależy od naszych zdolności ani od naszego „zatroskania” (por. Mt 6, 27).

Choroba narzuca pytanie o sens, które w wierze skierowane jest do Boga: pytanie, które szuka nowego znaczenia i nowego kierunku dla egzystencji, a które niekiedy nie od razu może znaleźć odpowiedź. W tych żmudnych poszukiwaniach nie zawsze są w stanie nam pomóc przyjaciele i krewni.

Symboliczna pod tym względem jest biblijna postać Hioba. Jego żona i przyjaciele nie potrafią towarzyszyć mu w nieszczęściu, wręcz przeciwnie, oskarżają go, potęgując jego samotność i zagubienie. Hiob wpada w stan opuszczenia i niezrozumienia. Ale właśnie poprzez tę skrajną kruchość, odrzucając wszelką obłudę i obierając drogę szczerości wobec Boga i wobec innych, sprawia, że jego uporczywe wołanie dociera do Boga, który w końcu odpowiada, otwierając przed nim nową perspektywę. Potwierdza, że jego cierpienie nie jest naganą ani karą, nie jest też stanem oddalenia od Boga ani oznaką Jego obojętności. Zatem z poranionego i uzdrowionego serca Hioba wypływa ta tętniąca życiem i wzruszająca wypowiedź, skierowana do Pana: „Dotąd Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem” (42, 5).

3. Choroba ma zawsze oblicze, i to nie tylko jedno: ma oblicze każde-

go chorego i każdej chorej, także tych osób, które czują się lekceważone, wykluczone, ofiar niesprawiedliwości społecznej, która odmawia im praw podstawowych (por. *Fratelli tutti*, 22). Obecna pandemia ujawniła wiele nieprawidłowości w systemach opieki zdrowotnej oraz braku w zakresie pomocy udzielanej chorym. Osoby starsze, najstarsze i najbardziej bezbronne nie zawsze mają za-



zawsze mają za- pewniony dostęp do opieki i nie zawsze odbywa się to w sposób sprawiedliwy. Zależy to od decyzji politycznych, sposobu zarządzania zasobami i zaangażowania osób zajmujących odpowiedzialne stanowiska. Inwestowanie środków w leczenie i opiekę nad chorymi jest priorytetem związanym z zasadą, że zdrowie

rodzinom. To milcząca rzesza mężczyzn i kobiet, którzy postanowili spojrzeć na te oblicza, troszcząc się o rany pacjentów, których odczuwali jako bliskich z racji wspólnej przynależności do rodziny ludzkiej.

Bliskość jest tak naprawdę cennym balsamem, który daje wsparcie i pocieszenie tym, którzy cierpią w chorobie. Jako chrześcijanie, przeżywamy bliskość jako wyraz miłości

towej. Braterska miłość w Chrystusie rodzi bowiem wspólnotę, która potrafi leczyć, która nikogo nie opuszcza, która włącza i przyjmuje przede wszystkim najstarszych.

W związku z tym chciałbym przypomnieć o znaczeniu solidarności braterskiej, która wyraża się konkretnie w służbie i może przybierać różne formy, które wszystkie są ukierunkowane na wspieranie naszego bliźniego. „Służenie oznacza troszczenie się o osoby słabe w naszych rodzinach, w naszym społeczeństwie, w naszym narodzie” (Homilia na placu Rewolucji w Hawanie, 20 września 2015 r.: *L'Osservatore Romano*, wyd. polskie, 10 (376)/2015, s. 23). W tym zaangażowaniu każdy jest w stanie „zostać na boku swoje dążenia, oczekiwania, swoje pragnienia bycia wszechmocnym w obliczu konkretnego spoj-

rzeżenia najstarszych. [...] Służba zawsze patrzy w twarz brata, dotyka jego ciała, czuje jego bliskość, a nawet w pewnych przypadkach «znosi» ją i zabiega o rozwój brata. Dlatego służba nigdy nie jest ideologiczna, ponieważ nie służy się ideom, ale służy się osobom” (por. tamże).

4. Dla dobrej terapii decydujące znaczenie ma aspekt relacyjny, dzięki

któremu można mieć podejście całościowe do chorego. Docenianie tego aspektu pomaga również lekarzom, pielęgniarkom, specjalistom i wolontariuszom, aby otoczyć opieką osoby cierpiące, aby im towarzyszyć w procesie uzdrowienia, dzięki relacji międzyosobowej, opartej na zaufaniu (por. *Nowa Karta Pracowników Służby Zdrowia* [2016], 4). Chodzi zatem o ustanowienie paktu między osobami potrzebującymi opieki a tymi, którzy się nimi opiekują; paktu opartego na wzajemnym zaufaniu i szacunku, szczerości i dyspozycyjności, aby przezwyciężyć wszelkie bariery obronne, umieścić w centrum godność chorego, chronić profesjonalizm pracowników służby zdrowia i utrzymywać dobre relacje z rodzinami pacjentów.

To właśnie ta relacja z osobą chorą znajduje niewyczerpane źródło motywacji i mocy w miłości Chrystusa, jak pokazuje tysiącletnie

świadczenie mężczyzn i kobiet, którzy stali się świętymi, służąc chorym. Z tajemnicy śmierci i zmartwychwstania Chrystusa wypływa bowiem ta miłość, która potrafi nadać pełen sens zarówno sytuacji pacjenta, jak i tego kto się o niego troszczy. Zaświadcza o tym wielokrotnie Ewangelia, ukazując, że uzdrowienia dokonane przez Jezusa nigdy nie są gestami magicznymi, lecz zawsze są owocem spotkania, relacji międzyosobowej, w której dar Boży, ofiarowany przez Jezusa, odpowiada na wiarę osoby, która go przyjmuje, co podsumowują słowa, które Jezus często powtarza: „twoja wiara cię ocaliła”.

5. Drodzy bracia i siostry, przykazanie miłości, które Jezus pozostawił swoim uczniom, znajduje konkretną realizację także w relacji z chorymi. Społeczeństwo jest bardziej ludzkie, jeśli potrafi bardziej zatroszczyć się

o swoich słabych i cierpiących członków, a zdoła czynić to skutecznie będąc ożywione miłością braterską. Dążmy do tego celu i sprawmy, aby nikt nie został pozostawiony sam sobie, aby nikt nie czuł się wykluczony lub opuszczony.

Powierzam wszystkim chorych, pracowników służby zdrowia i tych, którzy troszczą się o cierpiących, Maryi, Matce Miłosierdzia i Uzdrawieniu Chorych. Niech z Groty w Lourdes i z Jej niezliczonych sanktuariów na całym świecie wspiera naszą wiarę i naszą nadzieję, i pomaga nam troszczyć się o siebie nawzajem z bratnią miłością. Wszystkim i każdemu z was z serca udzielam mojego błogosławieństwa.

Rzym, u św. Jana na Lateranie,
dnia 20 grudnia 2020 r.,
w IV Niedzielę Adwentu



Ważny był dla niego Bóg w drugim człowieku

Wybrane wątki ze wspomnień o ks. Januszu

Iwona Cymerman

To były niespodziewane odwiedziny. Ksiądz Janusz po prostu zadzwonił, by spytać, co słychać. Sądziłam, że dzwoni z Włoch, a tu niespodzianka: jest w Polsce i wybiera się z klerykiem Apollinare'm Domarą do Gdańska przez Warmię, czyli się spotkamy. Ma pragnienie spotkać się z naszą wspólnotą. Miałam tę łaskę, że mogłam gościć Naszego (tak o nim zwykliśmy mówić i tak rozpoczynałam wiadomości, czy życzenia) księdza Janusza w domu, ilekroć przybywał do Olsztyna.

Data przyjazdu przypadła dokładnie w moje urodziny. Od razu mi się przypomniało, jak to podczas turnusów w Głogowie kilkakrotnie świętowałam to wydarzenie. Ksiądz Janusz (wraz z siostrami), mimo licznych obowiązków, zawsze wstąpił na kawałek tortu i chwilę rozmowy. Taki właśnie był Nasz ksiądz Janusz: dokonywał wielkich dzieł, oddany Bogu na służbę w charyzmacie błogosławionego Luigiego Novarese, a jednocześnie dostrzegał każdego, dosłownie każdego zwykłego człowieka. I był zaintereso-



wany nie tylko Zbawczym Apostolatem Cierpienia jako takim, ale codziennością tych, co go tworzą.

Domawiając szczegóły pobytu księdza i kleryka Apollinare'go, poprosiłam nieśmiało o odprawienie Mszy Świętej w mojej intencji w moje urodziny. I tak się stało. W pobliskim Olsztynowi Wójtowie, w urokliwym kościele, gdzie ksiądz Janusz spotkał się ze swoim przyjacielem, księdzem Lucjanem Świtą oraz księdzem Andrzejem Adamczykiem, mogłam przeżyć precudną Eucharystię.

Po raz kolejny potwierdziło się moje przekonanie o księdzu Januszu i jego pielęgnowaniu przyjaźni. Nie stracił, jak sądzę, żadnej okazji do spotkania, rozmowy, choćby telefonicznej czy w formie krótkiej wiadomości tekstowej z osobami mu bliskimi. A ośmielałam się zaryzykować stwierdzenie, że nas wszystkich traktował jak swoją rodzinę. Ilekroć gdzieś dane mu było pielgrzymować, przysyłał zdjęcia wraz z zapewnieniem o pamięci o nas i modlitwie. Bogu dzięki! To wielki dar!

W związku z czasem pandemii wspólny posiłek u mnie, tym razem, nie wchodził w rachubę. Wybrałam restaurację zapewniającą najbardziej skomplikowane wymagania dotyczące ograniczeń zdrowotnych. Zależało mi na tym, gdyż wiedziałam, że ksiądz Janusz (oraz każdy z nas) mamy różne diety. I tu spotkało mnie zaskoczenie, bowiem ksiądz stwierdził, że nie potrzebuje się ograniczać. I znów retrospekcja: przecież tak już bywało wcześniej. Ksiądz Janusz bardziej chciał uszanować tych, którzy przygotowali specjalnie na spotkanie z nim posiłek i wszystkiego spróbować, niż dbać o swój stan zdrowia.

Następnego ranka jechaliśmy do Gietrzwałdu, Sanktuarium Objawień Matki Bożej. Tam mieliśmy wspólnotowo przeżywać Eucharystię. Tuż przed Mszą Świętą miało miejsce wspaniałe wydarzenie. Otóż, gdy byliśmy przy kapliczce objawień Matki Bożej, do księdza Janusza zadzwonił ksiądz biskup z Afryki, z diecezji, z której pochodzi kleryk Apollinare. I dokładnie w tym miejscu ksiądz Janusz mógł przekazać Apollinare'mu piękną dla niego wiadomość:



biskup wyraził zgodę na święcenia diakonatu. Chwała Panu Bogu i Naszej Mamie Maryi! Radość zatem była zwiokrotniona, bo nie tylko się spotkaliśmy z przedstawicielami naszej wspólnoty Centrum Ochotników Cierpienia Archidiecezji Warmińskiej.

Podczas biesiadowania ksiądz Janusz przede wszystkim pytał o realizację charyzmatu naszego błogosławionego założyciela. Nigdy nie wyraził się ani jednym słowem krytycznym, gdy nasze starania odbiegały od ideału. Zachęcał tylko, podsuwał pomysły. Był w tym bardzo taktowny i wspierający. Nie osądzał nas. Jestem przekonana, że w swoim zamysłu polecał każdego w modlitwie opiece Maryi.

Gdy wiozłam Gości na dworzec z Olsztynka (bowiem jeszcze tam zajechaliśmy, wszak tam również są osoby z Apostolatu, jak Iza, czy rodzina Pana Krzysztofa) ksiądz Janusz mówił do mnie o charyzmacie, kierunku rozwoju wspólnoty. Na dworcu przemknęła mi myśl, której się zląkłam: „a może to już ostatnie odwiedziny i te wszystkie słowa były swoistym testamentem?” Dziś wiem, że tak było faktycznie.

Takie niektóre skojarzenia, które się od razu pojawiają, gdy myślę o Naszym księdzu Januszu Malskim: organizowane pielgrzymki np. do Fatimy dla ponad setki członków Apostolatu, dwoma samolotami! Bardzo liczni wolontariusze w Domu Uzdrawienia Chorych w Głogowie – te znajomości nie ustały, kilka osób nas odwiedziło w Olsztynie. Odnosiłam wrażenie, że dla księdza nie było rzeczy nie do zrobienia.

Bogu i Niepokalanej dziękuję za dar fenomenu księdza Janusza.

Wspólny charyzmat

Wspomnienie o ks. Januszu Malski

Ewa Gałka

To wszystko zaczęło się od diecezjalnej warmińskiej pielgrzymki osób niepełnosprawnych do Rzymu i innych miejsc we Włoszech we wrześniu 1992 r. W pielgrzymce miałam szansę uczestniczyć dzięki niepełnosprawnemu synowi Dariuszowi, wiernemu ministrantowi. Udział brali niepełnosprawni wraz z opiekunami, w tym sześć osób na wózkach inwalidzkich.

Po kilku dniach zwiedzania (Wenecja, Padwa, Rzym) zostaliśmy zaproszeni przez ks. Janusza do miejsca jego pobytu we Włoszech – Rocca Priora, gdzie powitał nas z wielką radością i tak ciepło, że poczuliśmy się jak w najbliższej rodzinie, jakbyśmy się znali od lat.

Po drodze oglądaliśmy placówki terapeutyczne dla niepełnosprawnych, gdyż wówczas w Polsce nie było żadnej oferty wsparcia dla dorosłych niepełnosprawnych intelektualnie, a nawet dzieci z głębszą niepełnosprawnością były zwalniane z obowiązku szkolnego.

Następne spotkanie z ks. Januszem odbyło się w domu „Niepokalanego Serca Maryi” w Re, w pobliżu Sanktuarium Matki Bożej Krwawiącej, w malowniczej górskiej okolicy, w pobliżu szwajcarskiej granicy. W rodzinnej atmosferze odbywały się kilkudniowe rekolekcje, ubogacane wielkim przeżyciem odejścia do Pana uczestniczki pielgrzymki, p. Zofii.

Ta pielgrzymka połączyła mnie z Danusią Steciewicz – osobą na wózku inwalidzkim, z którą przyjaźń trwa cały czas. Poznałam bliżej potrzeby tej grupy osób niepełnosprawnych i mogłam podejrzeć rozwiązania techniczne w cudownym Domu w Re.



To tam, po rozmowie z ks. Januszem i po wartościowych rekolekcjach, doświadczeniach w tym niezwykłym Domu, obserwacjach, przemyśleniach i błogostawieństwie ks. Janusza, który przekazał charyzmem bł. Luigiego Novarese, podjęłam bez niepokoju o przyszłość decyzję dotyczącą ważnej zmiany życiowej.

Zrezygnowałam z bardzo wygodnej, korzystnej pracy w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym i podjęłam się od zera pracy w Polskim Stowarzyszeniu na rzecz Osób z Niepełnosprawnością Intelektualną, aby stworzyć miejsce do terapii dla tej wyłączonej grupy dorosłych, którzy nigdzie dotychczas nie uczestniczyli w żadnych zajęciach. A dla tych zwolnionych z obowiązku szkolnego, tych wyłączonych z aktywności, zamkniętych w czterech ścianach domu rodzinnego – aby utworzyć Ośrodek Rehabilitacyjno-Edukacyjno-Wychowawczy umożliwiający realizację obowiązku szkolnego.

W tym wszystkim systematycznie wspierał, motywował, umacniał ks. Janusz, a bł. Novarese i św. Jan Paweł II prowadzili, ja tylko dokumenty podpisywałam i przenosiłam z miejsca na miejsce, a dzieło wzrastało.

Następne spotkanie z ks. Januszem odbyło się w Głogowie, na wolnej przestrzeni obok kolegiaty i kamienia węgielnego, który był początkiem powstania tego naszego kochanego Domu „Uzdrowienia Chorych”, do którego jeździmy co roku przez 15 lat. W tym roku nasz wyjazd został, niestety, uniemożliwiony – z powodu nieubłaganego koronawirusa.

8 sierpnia 2020 roku mieliśmy piękne spotkanie z ks. Januszem, które odbyło się w Gietrzwałdzie, w Domu Rekolekcyjnym prowadzonym przez ks. Bartosza Matczaka. Odbyła się wtedy uroczysta Msza Św. upamiętniająca początki organizacji „Cichych Pracowników Krzyża” na Warmii w Olsztynie, wspominaliśmy pierwsze spotkanie w Re w 1992 r. i omawialiśmy efekty tych spotkań, Bożych działań i wspólnych przedsięwzięć.

Tak cieszyliśmy się tym spotkaniem, naładowani pozytywnymi odczuciami, uśmiechem i błogostawieństwem ks. Janusza oraz towarzyszącego mu kleryka z Kamerunu. Byliśmy tak radośni, napełnieni Duchem Świętym i łaskami od Matki Gietrzwałdzkiej. Nic nie uświadamiało nam, że to może być nasze ostatnie spotkanie, że będziemy te dni uważać za umacniające pożegnanie, że to tak nagle się zadzieje...

Do końca byliśmy w kontakcie z ks. Januszem. Z różnych miejsc świata przysyłał nam zawsze sms-y z błogostawieństwem z cudownych miejsc objawień – Lourdes, Fatimy, zdjęcia, filmiki i sms-y z Kamerunu oraz z wielu innych miejsc, gdzie bywał. Bardzo ceni-

łam sobie te niezwykle informacje. Ostatnie sms-y były z 13 sierpnia, ze Świebodzina przy Figurze Chrystusa Króla, z 15 sierpnia wraz z życzeniami radosnego przeżywania Wniebowzięcia NMP, z 21 sierpnia z występami dzieci z misji z Kamerunu, z polskimi cudownymi pieśniami, potem z 14 września i ostatni z przejmującym i niepokojącym głosem film z 2 października z godz. 17.25 o treści „Bóg zapłać za Waszą bliskość i modlitwę”.

Tych cudownych i niezapomnianych spotkań z ks. Januszem, który ładował nasze akumulatory pozytywną energią, obdarzał radością i optymizmem, było bardzo wiele. Był z siostrą Małgorzatą na otwarciu naszego Centrum Rehabilitacyjno-Edukacyjnego im. Jana Pawła II w kwietniu 2012 r.

To jest prawdziwy, funkcjonalny pomnik naszego Papieża, służący tym najbardziej potrzebującym, powstały przy wspólnych modlitewnych działaniach. To wspólne dzieło powstało cudownie. Tu, poza edukacją, terapią i rehabilitacją, jest 12 miejsc całodobowego pobytu, tak bardzo potrzebnych w nagłych sytuacjach kryzysowych rodziny.

Ks. Janusza mieliśmy na co dzień, każdego dnia mogliśmy wymienić zdania, a szczególnie ważne były te wspierające sms-y z niemalże całego świata, uświetające każde święto, zapewniające modlitewne czuwanie nad nami. Ks. Janusz był człowiekiem o wielkim sercu i wewnętrznym pokoju, wielką radość rozdawał wokół. Bez słów odczuwaliśmy miłosierną i nieustanną obecność w naszych działaniach na rzecz tych najbardziej oczekujących.

Kochamy Cię, Księżo Januszu, dziękujemy za wszystko i wierzymy, że będziesz nadal z nieba nas wspierał.



Niezwykłe spotkania z ks. Januszem Malskim

Krzysztof Gosz

Nawczasorekolekcje zacząłem jeździć, mając 11 lat. Byłem wtedy po Pierwszej Komunii Świętej, to były moje pierwsze rekolekcje w grupie chorych i niepełnosprawnych. Odbyły się w Mauszu na Kaszubach, w 1998 roku. Prowadził je wtedy ks. Rafał Zendran, obecny proboszcz kolegiaty w Głogowie. Pewni myśleli: co ten chłopak tu robi, czy on coś rozumie z tych rekolekcji? Byłem najmłodszy wśród uczestników.

Zbliżał się wieczór przygotowywany przez kleryków gdańskiego seminarium o Chrystusie połamany. Zawsze lubiłem stać koło pani Elżbiety Staszewskiej i w czasie tego wieczoru również byłem obok niej, trzymając ją za dłoń. W pewnym momencie spojrzeliśmy na siebie nawzajem, klerycy w tym momencie recytowali przepiękne i przejmujące teksty, które chwyciły za serce, i tży same poleciały...

Przez następne lata rekolekcje odbywały się już w Sobieszewie i to właśnie wtedy przyjechał do nas ks. Janusz Malski, by opowiedzieć nam o postaci ks. Luigiego Novarese. Ksiądz Janusz bardzo ciekawie opowiadał, przedstawiał historię życia Błogostawionego, mówił o charyzmacie. Tak się zaczęła nasza znajomość-przyjaźń.

Ks. Janusz wtedy już mówił, że w Głogowie ma być budowany Dom Rekolekcyjno-Rehabilitacyjny. Gdy grupa z Gdańska miała rekolekcje, ks. Janusz na każdym kroku – czy to w trakcie spotkań (nie tylko z grupą gdańską), czy to idąc korytarzem – potrafił do każdego dotrzeć z pełną, emanującą ciepłem empatią. To był niezwykle człowiek, Ksiądz,

który promieniował ciepłem, spokojem, braterską miłością oraz głęboką wiarą... Ks. Janusz Malski dostownie karmił nas słowem Bożym oraz zbliżał nas do Boga – pomimo swojego cierpienia.



Gdyż zbliżał się koniec budowy tego pięknego dzieła w Polsce, czyli Domu „Uzdrowienie Chorych” im. Jana Pawła II, położonego tuż przy zabytkowej, przepięknej kolegiacie, nasza grupa z Gdańska przybyła na zaproszenie ks. Janusza, by uczestniczyć w otwarciu i poświęceniu Domu. Odbyło się to 16 czerwca 2003 roku. Przyjechaliśmy tylko w parę osób i to jakiś cud, że znalazłem się wraz moją kochaną babcią wśród znajomych, by reprezentować naszą diecezję. Od tego czasu dwa razy do roku nasza grupa jeździła i nadal jeździ na wczasorekolekcje oraz uczestniczy w ważnych wydarzeniach i spotkaniach związanych z CVS i charyzmatem bł. Novarese.

Rok wcześniej, czyli w 2002 roku, odbyła się ogólnopolska pielgrzymka Chorych i Niepełnosprawnych pociągiem do LOURDES (to była pierwsza taka pielgrzymka po wojnie). To też był przeogromny cud i dar od Boga, ponieważ z naszej diecezji było tylko 11 osób (w tym oczywiście ja i moja Babcia), a z całej Polski pociąg liczył ok. 522 osób z różnymi stopniami niepełnosprawności i chorób. Ksiądz Janusz był takim głównym „łącznikiem”, odpowiedzialnym za pielgrzymkę. Był też tłumaczem. Byłem pełen uznania i podziwu dla ks. Janusza, że tak biegle i sprawne się komunikuje z obcokrajowcami. Nie tylko to podziwiałem.

Gdy nasza grupa gościła w domu głogowskim, zawsze przyjmował nas z otwartymi ramionami, obdarzał serdecznością i braterską miłością – wraz ze swoją ukochaną Siostrą Małgorzatą (i z ich mamą, dopóki żyła) oraz Siostrami, które posługują w głogowskim Domu.

Ks. Janusz nigdy nie okazywał zmęczenia i wszelkich dolegliwości oraz nigdy nie narzekał. Wszystko znosił z ogromną pokorą i otwartością, a jego kapłaństwo było powinnością służenia innym, zwłaszcza chorym, niepełnosprawnym czy cierpiącym. Tak wyglądało jego całe życie. Gdy był dyrektorem głogowskiego domu i wracał po ciężkim dniu, zawsze lubił przejść się po korytarzach, by poobserwować



ukochane rybki w akwariach, które zachwycały swoimi podwodnymi popisami. Nawet gdy przebywał koło akwariów, można było odczuć, że skupia się w modlitwie i myślami jest z chorymi, z tymi, którzy tak leżą mu na sercu.

Ks. Januszu, dziękujemy Ci za Twoje bogate kapłańskie życie, za usta, które wypowiadały te piękne słowa i przestania, które pozostaną na długo, za ręce, które czyniły dobro poprzez pomoc innym oraz karmiły chlebem powszednim, za ciepło, uśmiech, gorliwość i oddanie oraz ogromną Miłość ku wszystkim i wszystkiemu, za Wiarę i Nadzieję, którą nam przekazywałeś przez swoje całe życie.

Bóg zapłać i do zobaczenia!



Ksiądz Janusz – „Siewca”

Wioletta Witkowska

Jak myślę o ks. Januszu, to jestem przekonana, że był Siewcą. Znamy sylwetki naszych „Siewców nadziei” i jak dla mnie to Ksiądz był właśnie takim człowiekiem, który dawał ludziom nadzieję. Chciałabym podzielić się z Wami kilkoma wspomnieniami z moich spotkań, z ks. Januszem, które są dla mnie tymi najbardziej znaczącymi.

Po raz pierwszy Księdza Janusza miałam okazję spotkać w Głogowie, na turnusie. To tam poznałam charyzmat bł. L. Novarese, uczestnicząc w rekolekcjach pt. „Powołanie Chorego w Kościele. Kiedy cierpienie staje się łaską”. Ks. Janusz wniósł wtedy do mojego życia nowe spojrzenie na głoszenie ewangelii cierpienia w swoim środowisku parafialnym i domowym.

Na tych rekolekcjach wydarzyło się coś szczególnego. Na spotkaniu podsumowującym ks. Janusz powiedział do nas wszystkich: „*A teraz pojedziecie*

do swoich domów, parafii, aby tam założyć grupy apostołatu chorych”. Pamiętam Jego spojrzenie i słowa skierowane na koniec do mnie: „*Prawda, Wioletka?*”, odpowiedziałam wtedy: „*Oczywiście*”. I ta oczywistość zasiana słowem i zachętą Ks. Janusza stała się dla mnie naprawdę ważnym momentem i pomocą – dowartościowaniem mojej niepełnosprawności i odkrywaniem powołania w tym charyzmacie.

Kolejnym wydarzeniem była pielgrzymka CVS do Fatimy, do Niebieskiej Pani. Ks. Janusz towarzyszył mi w tej podróży. Było bardzo mało czasu, a odległość z dworca PKP do autobusu, który miał nas podwieźć do samolotu, była dosyć znacząca i jeszcze winda na peronie szwankowała. Ks. Janusz nie zastanawiał się długo, po prostu wziął mnie z wózkiem i po schodach wniósł. „*Chory przez chorego przy pomocy brata zdrowego*” – nasze nowarezańskie hasło. Pielgrzymka ta stała się kluczową

WSPOMNIENIE

dla mojego powołania. To ona w efekcie zdecydowała o wstąpieniu do Cichych Pracowników Krzyża, do gałęzi życia w rodzinie. Ks. Janusz nazywał mnie apostołką cierpienia.

Wydarzyło się jeszcze coś. Spotkanie w szpitalu głogowskim, kiedy leżałam ze złamaną nogą. Ks. Janusz przyjechał do mnie z Panem Jezusem. Po chwili salowa przyniosła obiad, zostawiając go na stoliku. Nie mogłam sama sobie poradzić, bo ten stolik dla mnie za wysoki. Byłam też bardzo osłabiona i nie miałam sił. Co zrobił ks. Janusz? Wziął sztucce, pokroił kotlet i zaczął mnie po prostu karmić. Nigdy tego nie zapomnę, bo dla niego to było takie naturalne, że skoro ja nie mogę sama sobie poradzić i nie mam możliwości samodzielnie jeść, to on mi w tym pomoże.

Troska o chorego była u Ks. Janusza normalnością. Za każdym razem, gdy wyjeżdżał czy rozmawiał ze mną przez telefon, prosił mnie o modlitwę.

Kim był Ks. Janusz? Był wrażliwym kapłanem i radosnym siewcą dodającym odwagi niepełnosprawnym. Dziękuję, Księżu Januszu, za te spotkania i wydarzenia.



PIĘKNE ŻYCIE

Jarosław Kajdański

Patrzę na to zdjęcie – jacy Oni są piękni! Rozświetleni Ideą, którą tak dzielnie realizowali. Jacy są podobni – Gosia i Janusz, moi sąsiedzi przez ścianę kamienicy na szczecińskim Pogodnie. Znałem ich od dziecka, Janusz starszy ode mnie o dwa lata, mój rówieśnik. Wspólne zabawy, choć Janusz szybko poszedł własną drogą i pociągnął za sobą młodszą siostrę. Nie mieli łatwego życia, bo i czasy były trudne, ale pracowali na to, żeby życia nie zmarnować, znaleźli sens i powołanie, pomoc dla niepełnosprawnych była ich drogą do Pana Boga.



Dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba

Jadwiga Kuśnierz, Jolanta Maćkowska

Tym może mało „religijnym” tytułem pochodzącym z wiersza Edwarda Stachury chciałam rozpocząć opowieść o naszym Stowarzyszeniu. Historia ta ma szczególne znaczenie w czasach, kiedy zupełnie pogubiliśmy się w pojmowaniu wolności jako przywileju człowieczeństwa.

Do poziomu burd ulicznych sprowadzono dyskusję o tym, komu „pozwalamy” żyć i cieszyć się życiem, a kogo już przed narodzeniem skazujemy na śmierć, bo jest chory. Nie chcę tutaj wdawać się w dyskusje ani medyczne, ani teologiczne. Stwierdzam jedynie, iż do zacietrzewionych osób nie trafiają nawet najbardziej racjonalne argumenty. O wiele bardziej potrzebne są raczej przykłady dobrych działań na rzecz ludzi niepełnosprawnych.

Poza tym – zdrowie nie jest dane nam raz na zawsze i każdy z nas na różnym etapie swojego życia może stać się osobą niepełnosprawną. Warto o tym pamiętać.

Dolnośląskie Stowarzyszenie na Rzecz Dzieci i Dorosłych z Niepełnosprawnością Intelektualną „Oaza” powołane zostało do życia przez rodziców dzieci niepełnosprawnych, skupionych w kręgu Wiary i Światła, gromadzących się na spotkaniach przy parafii Macierzyństwa Najświętszej Maryi Panny we Wrocławiu-Pilczycach. Na opiekuna, a potem formalnego prezesa, wybraliśmy ks. Ryszarda Skocza, ówczesnego proboszcza tej parafii.

Celem Stowarzyszenia jest budowa domu dla podopiecznych. Chcemy, aby po śmierci swoich prawnych opiekunów, „dzieci” nie trafiły do Domów Pomocy Społecznej, które zazwyczaj przeznaczone są dla osób starszych i schorowanych i nie stwarzają dla

osób niepełnosprawnych intelektualnie warunków dobrego rozwoju duchowego i fizycznego. Chcemy, aby nasz dom był miejscem pełnym „serca”, gdzie każdy mieszkaniec mógłby rozwijać swoje pasje, pra-



cować na rzecz wspólnoty. Gdzie poszanowana była godność człowieka jako Dziecka Bożego.

NASZ PATRON – JEROME LEJEUNE

Na patrona obraliśmy sobie sługę Bożego Jérôme’a Lejeune’a, francuskiego profesora medycyny, odkrywcę etiologii występowania zespołu Downa. Lejeune urodził się w Francji w 1926 roku, zmarł w 1994 r. Był wybitnym genetykiem, pediatrą. W lipcu 1958 roku w czasie badań nad chromosomami dziecka z tzw. mongolizmem, odkrył istnienie dodatkowego chromosomu w 21. parze chromosomów. Był to przełomowy moment. Lejeune miał nadzieję, że jego odkrycie przyczyni się do skuteczniejszej pomocy osobom dotkniętym wadą. Stało się jednak inaczej. Diagnozowanie Zespołu Downa podczas ciąży coraz częściej skutkowało śmiercią nienarodzonych dzieci, z czym nie mógł się pogodzić i nad czym bardzo ubolewał Lejeune. W 1962 roku naukowiec otrzymał za swoje odkrycie nagrodę z rąk amerykańskiego prezydenta Johna Kennedy’ego.

Jérôme przyjaźnił się z Janem Pawłem II, poznali się w Krakowie w czasach, gdy Wojtyła był metropolitą. Lekarz przyjechał do miasta Kraka z wykładami na zaproszenie prof. Wandy Póttawskiej, która przedstawiła mu Instytut Badań nad Rodziną. W późniejszych latach Jan Paweł II mianował Lejeune’a pierwszym przewodniczącym Papieskiej Akademii Życia. Po śmierci lekarza papież powiedział o nim, że był wybitnym chrześcijaninem XX wieku, który stał się apostołem ludzkiego życia.

W roku 2007 roku rozpoczął się proces beatyfikacyjny Jérôme’a Lejeune’a. Jak mówi wicepostu-

latorka Anne Dugast, zebrano świadectwa z całego świata od osób uwrażliwionych na kwestię niepełnosprawności lub poruszonych podejściem lekarza do swoich pacjentów. Modlitwy o beatyfikację odbywają się w wielu zakątkach świata (zob. <https://stanislawbm.pl/jerome-lejeune-i-jego-pacjenci-z-trisomia-21/>).

MAŁE KROKI W WIELKIM CELU

Małymi krokami i tylko dzięki naszym wielu przyjaciółom realizujemy nasz cel. Na swojej drodze i podczas naszych „akcji” spotykamy się z ogromną życzliwością ludzi, którym los ludzi niepełnosprawnych nie jest obcy. Pod koniec ubiegłego roku dzięki darczyńcom oraz wpłatom własnym członków udało nam się zakupić działkę budowlaną u podnóża Gór Izerskich. Mamy nadzieję, że już niebawem będziemy mogli zaprosić tam wszystkich nieobojętnych na problem niepełnosprawności na nasze inicjatywy służące integracji i budowaniu cywilizacji życia. Być Mamą dziecka niepełnosprawnego to 24-godzinny ciężki dyżur bez odpoczynku i dni świątecznych. Smutki i radości, walka z biurokracją i o środki na życie. Mimo XXI wieku, rozwoju techniki, medycyny, nauk humanistycznych, społeczeństwo w zatrwającej procentowo liczbie woła o śmierć, niebyt i zapomnienie dla dzieci–ludzi chorych i niepełnosprawnych.

Nie wiemy, czy uda się nam zmienić to nastawienie do ludzi niepełnosprawnych, ale chcemy też w tym artykule przytoczyć świadectwo jednej z naszych Mam, świadectwo życia, które więcej znaczy niż potok słów.



ŚWIADECTWO ŻYCIA

W moim środowisku nie było niepełnosprawnych osób. Jako dziecko, nastolatka, a potem dorosła osoba spotykałam ludzi dobrych i złych, mądrych i głupich oraz uprzejmych i aroganckich. Osoby kalekie, bo takie funkcjonowało określenie, znajdowały się gdzieś tam, ale nie w moim świecie.

Byłam na rozwiązaniu z piątym dzieckiem, kiedy mój 5,5 letni synek Rysiu, wyjątkowo bystry i przewyższający rozwojem rówieśników, znalazł się w szpitalu, nieprzytomny, z rozpoznaniem: bakteryjne zapalenie mózgu i opon mózgowo-rdzeniowych. Kilka tygodni pod respiratorem, ciężka posocznica i trudne do przyjęcia słowa pani ordynator: „tam już jest tylko galareta nie mózg, proszę się skupić na zdrowych dzieciach, a o tym zapomnieć... a tak w ogóle to twoja wina”.

Siedziałam godzinami przy szpitalnym łóżeczku, modląc się, śpiewając, czytając i opowiadając różne historyjki. Odpychałam niepokojące myśli o pozostawionych w domu dzieciach. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że dziecko nie jest moją własnością. Mogę mu tylko towarzyszyć i zrobić to, co się da. Dziecko jest powierzone mojej opiece. Należy do Boga. Ma swój kanał prosto do Nieba. Ja stoję z boku i mam mu pomóc.

Włączyłam się w rehabilitację ruchową i po kilku miesiącach zabrałam swojego, prawie 6-letniego, synka do domu. Jego stan psychoruchowy był poniżej noworodka. Przykurcze spastyczne górnych kończyn, niedowładny wiotkie dolnych, brak odruchu ssania, a u mnie ogromne poczucie winy, starannie podtrzymywane przez panią doktor.

Po roku Rysiu już chodził, sam jadł i zaczął wypowiadać pierwsze sylaby, potem słowa. Po dwóch latach zaczęły się napady epilepsji, później okazało się też, że nie słyszy na jedno ucho. Trafił do szkoły specjalnej, a po jej ukończeniu na Warsztaty Terapii Zajęciowej. Obecnie pracuje w Zakładzie Aktywności Zawodowej już od 10 lat.

W rehabilitacji, poprzez zajęcia logopedyczne, muzykoterapię, hipoterapię, zajęcia lekkoatletyczne i na basenie w ramach Olimpiad Specjalnych oraz

w drużynie Nieprzetartego Szlaku ZHP towarzyszę mu nieustannie od prawie 35 lat. Wygląda na zdrowego, sprawnego mężczyznę. Nadal jednak wymaga pomocy w codziennym funkcjonowaniu. Dbam o jego leczenie i potrzeby, także duchowe. Jesteśmy we wspólnocie Wiara i Światło, gdzie poza comiesięcznymi spotkaniami i obozami letnimi syn chętnie służy do Mszy Świętej jako ministrant. Wielokrotnie braliśmy udział w pieszych pielgrzymkach do Trzebnicy z Wrocławia, a także kilkakrotnie na Jasną Górę. W ubiegłym roku byliśmy też na pieszej pielgrzymce do Santiago de Compostela. Staram się pokazać mu piękny świat i jego miejsce w tym świecie, ale martwi mnie myśl, co z nim będzie, kiedy mnie zabraknie...

Rysiu miał dziewięć lat, kiedy urodziłam upragnioną (piątka starszych dzieci to chłopcy) córeczkę Joasię. Poród przebiegał dramatycznie. Niewiele wcześniej stwierdzono ułożenie pośladkowe, ale uznano, że skoro jest to szóste dziecko, urodzę bez problemów. Dopiero później dowiedziałam się, że nie wszystko przebiegło pomyślnie, ale córka dostała 10 pkt. Apgar i wydawało się, że wszystko w porządku. W 21. miesiącu życia pojawiły się bardzo groźne napady epilepsji, które cofnęły ją gwałtownie w rozwoju. Musiałam się nauczyć żyć w ciągłej niepewności. Każdy upadek groził niebezpiecznymi kontuzjami. Mimo zapewnień, że z leczoną padaczką można normalnie żyć, szukałam rozpaczliwie pomocy dla niej, gdyż zdawałam sobie sprawę z powagi sytuacji. Wczesne nauczanie indywidualne, różne zajęcia rehabilitacyjne w połączeniu z zajęciami dla syna, bo przecież równolegle walczyłam o rozwój Rysia. Próbowałam wówczas włączyć zdrowe dzieci, wysyłając z nimi (np. na grę w piłkę) niepełnosprawnego brata, aby się integrował ze środowiskiem. Skończyło się tym, że moje zdrowe dzieci zostały wyśmiane i odepchnięte przez rówieśników i też już nie miały czego szukać na boisku.

Leczenie padaczki u córki dawało na początku długie okresy beznapadowe, ale wpływało niekorzystnie na jej rozwój. Asia trafiła do szkoły specjalnej i z upływem lat jej poziom intelektualny się obniżał. Obecnie chodzi na Warsztaty Terapii Zajęciowej. Mój mąż zmarł, kiedy miała dziewięć lat, a Ryszard 18.

WIADOMOŚCI

Od tej pory byłam zdana na siebie i swoje dzieci, które w międzyczasie starałam się dobrze wychować. Dopóki się uczyły i mieszkaliśmy razem, pomagały mi w opiece, a później pracując również finansowo. Przyszedł jednak czas, aby synowie założyli rodziny. Mają prawo do swojego życia. Skupiając się na dzieciach wymagających stałej opieki, żądałam od zdrowych samodzielności i dyscypliny. Wspierałam w uzyskaniu najlepszego wykształcenia oraz rozwijaniu swoich zdolności i zainteresowań. Nie dałam im żadnej pomocy finansowej, gdyż więcej niż skromne środki nie starczały nieraz na podstawowe potrzeby. Musiało starczyć na ratowanie Rysia i Asi.

Od kilku lat jestem sama z dwojgiem dorosłych, niepełnosprawnych intelektualnie dzieci leczonych bez skutku na epilepsję. Ryszard wkrótce skończy 40 lat, a Joasia 31. Wróciły u niej groźne napady. Czuję się coraz słabsza, bardzo zmęczona i przerażona myślą, co z nimi będzie... Jednocześnie zdaję sobie sprawę, jakim wielkim darem są dla mnie. Bezkompromisowo i wprost mówią, co się im u mnie nie podoba i entuzjastycznie reagują na niedoceniane w „normalnym” świecie drobniaki. Jeśli coś mówią, to szczerze i bez ukrytych podtekstów. Nad moimi złośliwościami w ogóle się nie zatrzymują lub biorą dosłownie, odkrywając bezlitośnie moją małostkowość. Myślę, że wydobywają ze mnie dobro, które bez ich obecności w moim życiu nigdy nie wydostałoby się spod skorupy egoizmu.

Nie wiem, skąd w tych kobietach wychodzących ostatnio na ulice przekonanie, że jak zabiją niepełnosprawne dziecko w swoim łonie, to nie będą cierpieć. Myślą, że jak urodzą zdrowe dziecko, to ono zawsze będzie idealne. Ile chodzi takich idealnych dzieci sponiewieranych przez używki? Któraś z płaczem się zwierzała, że musiała urodzić chore dziecko i patrzeć na jego śmierć, a potem pochować – wolałaby je „usunąć”, żeby tego nie przeżywać! Nie zdaje sobie sprawy, jaką jest szczęściarą! Mogła je przytulić, optakać i przeżyć żałobę. A co zrobić z dzieckiem, któremu wyrywano kawałki ciała za



jej zgodą, ba, na jej żądanie! Jak żyć aż do śmierci z takim ciężarem! Biedne, wystraszone kobiety...

Nie osądzam, bo gdzie jest wsparcie ojca dziecka i całego otoczenia? Gdzie wsparcie państwa, które powinno zapewnić wszystkim dzieciom potrzebną opiekę. Gdzie miejsca, w których te nowonarodzone dzieci i te dorosłe, których rodzice już odeszli, znajdą bezpieczne i godne warunki do życia?

Jadwiga

Chcę być kapłanem zaangażowanym w codzienność

Apollinaire Domara SODC



Izabela Rutkowska: Kiedy i w jaki sposób poznałeś Cichych Pracowników Krzyża?

Apollinaire: Gdy byłem seminarzystą w mojej diecezji, doświadczałem różnych trudności i kryzysów. Moim wsparciem był wtedy mój proboszcz, który mnie mobilizował do studiowania. To on opowiedział mi o Cichych Pracownikach Krzyża. Znał też jednego z księży z tej wspólnoty – ks. Christofa, który był wyświęcony w Togo (to pierwszy afrykański ksiądz tej wspólnoty). Zasugerował mi więc, że może będzie to droga i dla mnie.

I wyjechałeś do Włoch?

Nie, jeszcze nie. Najpierw pojechałem do Kamerunu, aby tam poprzyglądać się działalności Cichych Pracowników Krzyża, popracować razem z nimi. Chciałem z bliska przyjrzeć się temu charyzmatowi, aby móc dalej go zgłębiać.

Co pomyślałeś o tej wspólnocie i jej dziełach?

Na początku byłem trochę zdziwiony, że należą do niej i bracia, i siostry, wspólnie prowadząc domy, ośrodki. Sama zaś duchowość spodobała mi się bardzo. Już jako seminarzysta bardzo interesowałem się duszpasterstwem ludzi chorych i starszych. Dlatego też mój proboszcz zaproponował mi wstąpienie do Cichych Pracowników Krzyża. Ten charyzmat mnie urzekł, ponieważ chodzi w nim nie tylko o zatroszczenie się o ciało, ale przede wszystkim o ducha. Kiedy widzę uśmiech osoby cierpiącej, to mnie uszczęśliwia. Możliwość kontaktu i służby w takim środowisku działa uświęcająco.

Co najbardziej podoba Ci się w nauczaniu bł. Lui-giego Novarese?

Czytając i zgłębiając pisma naszego Założyciela, odkryłem piękno – i charyzmatu, i jego postaci. Jest

tam wiele interesujących aspektów, ale mnie najbardziej dotknął fakt, że on stawia w centrum osobę ludzką. Bez względu na to, czy jest zdrowa, czy jest chora, czy niepełnosprawna – zawsze i do końca pozostaje osobą. I niezmiennie zasługuje na szacunek. To była dla mnie nowość. W Afryce osoby niepełnosprawne są wyrzucane ze społeczeństwa, ich życie jest uznawane za nieważne. W chrześcijaństwie zaś mogą one przeżywać swoją wartość i pełnię. I tu widzę powołanie dla siebie jako księdza – przywracać im godność. W Afryce nawet w kościele nie widać tych osób na wózkach czy o kulach. Taka niepełnosprawność jest wciąż przez wielu ludzi uważana za przekleństwo, zły znak – chcą więc raczej pozbyć się takich osób niż się o nie zatroszczyć. To mnie zawsze bardzo bolało.

W czasach bł. Novarese, czyli w Europie lat 50. XX wieku, sytuacja była podobna. Może nie aż tak, by widzieć w niepełnosprawnym opętanego, ale dla tych osób także nie widziano miejsca w społeczeństwie. Wstydzono się ich. Myślę więc, że Novarese bardzo dobrze rozumiał Twoją afrykańską sytuację.

Dokładnie tak! I gdy poznałem wspólnotę, zacząłem przygotowywać się we Włoszech do kapłaństwa, zaraz prosiłem o możliwość powrotu do Afryki – aby móc zmieniać tutejszą sytuację. Msza św. nie powinna nas usypiać, ale właśnie tym bardziej mobilizować do działania. I ja chcę działać. Chcę też uczyć tu przyszłych księży. Chcę uświadamiać wszystkich, że osoba chora, niepełnosprawna nie jest „czymś”, co się wyrzuca jak śmieci, ale ma swoją wielką godność, jest kochana przez Boga. Mój biskup także chce, abyśmy po formacji wrócili do Afryki, aby nauczać (szczególnie przyszłych księży) i by w efekcie zmieniać mentalność obecnych tu ludzi. Podczas wakacji zorganizował spotkanie z kapłanami, na którym mogłem opowiedzieć o tym charyzmacie. Bardzo się cieszę z tego spotkania.



Gdy pasterz jest zaangażowany, owce tym chętniej za nim idą.

O właśnie!

Czy możesz nam powiedzieć, jak to się stało, że usłyszałeś w sobie głos Pana Jezusa, głos powołania? Mogłeś przecież zostać lekarzem, pielęgniarzem, nauczycielem. Bo przecież można pomagać na wiele różnych sposobów. Ty jednak wybrałeś kapłaństwo.

To bardzo długa historia. Sięga mojego dzieciństwa. Żyłem w wiosce, do której kapłan docierał bardzo rzadko. Mój tato był katechetą i pod jego nieobecność to on czytał Pismo Święte i odprawiał niektóre modlitwy. Ale gdy przyjeżdżał ksiądz – to było święto! On był taki piękny w tych szatach! I ja gdy



go obserwowałem, marzyłem i mówiłem mamie – chcę być taki jak on. To marzenie zawsze ze mną było i ze mną dojrzywało. Potem spotkałem księdza, z którym wiele rozmawiałem i który wspierał mnie w tym dążeniu. Wstąpiłem więc do seminarium. Tam przeżywałem wiele trudnych momentów. Moja mama nie była zbyt zadowolona z tego wyboru. Byłem jedynym synem, jedynym mężczyzną, a więc powinienem zostać w domu i zająć się rodziną, utrzymać ją. Próbowała mnie wielokrotnie swatać. Ale ja jej powiedziałem: mam, to jest silniejsze ode mnie, już obiecałem to Panu Jezusowi. Potem modliłem się gorąco, aby Pan pomógł mi pozdawać wszystkie egzaminy. W trakcie mojej nauki w seminarium moja mama zmarła. Wtedy odszedłem z seminarium, dostałem się na uniwersytet, pracowałem. Bardzo, bardzo dużo się modliłem. Wspierał mnie w rozeznawaniu mój proboszcz, mój ojciec duchowy, leczył moje wewnętrzne rany. Bo tamten głos był wciąż we mnie żywy. Gdy pojechałem do Moudy (do ośrodka Cichych Pracowników Krzyża), od razu poczułem się tam bardzo dobrze. Ten czas z dziećmi, z niepełnosprawnymi, chorymi bardzo mi pomógł. To był bardzo piękny czas. Pomyślałem wtedy, że nawet jeśli nie zostanę księdzem, wiem, co chcę robić – chcę pracować właśnie z takimi osobami. Potem, gdy zaczęła się moja droga z Cichymi Pracownikami Krzyża, wszystko zaczęło mi się układać – zobaczyłem, że Pan Bóg ma dla mnie swój wielki plan.

Znalazłeś tam pokój.

Tak, doświadczyłem w tej wspólnotce pokoju.

Bł. Luigi był bardzo oddany Maryi. Jaką wartość ma w Twoim życiu duchowość maryjna? Jak wygląda ta duchowość w Afryce?

Jest mi ona bardzo bliska. W Afryce mamy wiele kościołów poświęconych Maryi. Mamy Legiony Maryi i rzeczywiście wielu ludzi modli się za jej pośrednictwem. I ja także bardzo się cieszę, że ta wspólnota jest tak bardzo maryjna, ponieważ doświadczyłem wiele pięknych momentów na modlitwie z Maryją. W czasie najbardziej dla mnie trudnym, gdy przeżywałem skomplikowane sytuacje, problemy, brałem różaniec, modliłem się do Niej i Ona była moim pocieszeniem oraz rozwiązaniem tych trudnych chwil. Gdy nie wiedziałem już, co będzie, Ona była moim ratunkiem. I myślę, że dlatego tak szybko wszedłem w tę nową wspólnotę, ponieważ tak żywa jest w niej duchowość maryjna.

Jak odnajdujesz się w Europie? Jak się czujesz we Włoszech, w Polsce? Co sądzisz o naszym społeczeństwie, o naszym sposobie życia?

Z tego względu, że to my, Afrykańczycy, byliśmy ewangelizowani przez Europejczyków, myślałem, że znajdę tu kościoły pełne i radosne. Włochy mnie bardzo rozczarowały... Nie znalazłem tu zbyt wiele wiary. Czasem tylko trzy osoby w kościele, a i to głównie starsi. Wolność polega tu jedynie na tym, że każdy robi to, co chce, nie licząc się z innymi, a przy tym zwracając na Kościół. To bardzo zasmuca.

Czy dałbyś nam jakąś radę?

Taką, jaką dał papież Benedykt XVI – aby Europa odnalazła swoje chrześcijańskie korzenie. Aby wróciła do Pana. Nie wystarczą wielkie kościoły, ważne historyczne miejsca, święta. Wiara musi być twoją osobistą historią. Myślę więc, że nowa ewangelizacja powinna nas po prostu bardziej angażować. To



nie może być tylko instytucja o nowej nazwie, ale nowe sposoby przywracania starej wiary, którą zagubiono. Angażowanie młodych.

W samej wspólnotce Cichych Pracowników Krzyża jest także problem z angażowaniem się młodzi. Wielu młodych ludzi jest przecież niepełnosprawnych, chorych, ale oni wcale nie chcą przeżywać swego cierpienia w Kościele.

Bł. Novarese kierował swój apostołat do wszystkich – starszych i młodszych. Tworzył sektory dla młodzi, a nawet dla dzieci. I to jest teraz zadanie dla naszej wspólnoty. Co zrobić, aby pozyskać tych najmłodszych? A dzięki nim pozyskać potem powołania. Z przykrością dostrzegam, że my jednak za mało się angażujemy... Nie wystarczy powiedzieć,

że jest źle. Trzeba zbadać – jak było kiedyś, a jak jest teraz, co jest przyczyną i co ja mogę zmienić. Zawsze bardzo mnie cieszy, gdy widzę w kościołach wielu młodych ludzi. Tak jest jeszcze w Polsce.

Jakim chcesz być księdzem? Czy masz już wybraną jakąś swoją „specjalizację” – np. praca z chorymi, z młodzieżą?

Dzisiaj kapłan musi umieć robić wiele rzeczy. Musi być zdolny do zaadaptowania się w różnych miejscach i środowiskach. Podczas mojego seminarijnego kursu teologii poprosiłem o praktykę. Nie chcę być jedynie specjalistą od teologii, ale chcę umieć być przy ludziach, przy chorych. Nie chcę studiować prawa kanonicznego, aby je wykładać, ale by nim służyć. To formacja praktyczna rodzi zaangażowanie. Osobiście najbardziej chciałbym być z chorymi, siedzieć u ich łóżek. Tak jak fizjoterapeuta, ale od ducha. Nie wystarczy mi stać za ołtarzem, daleko od ludzi, ja potrzebuję ich dotknąć, razem pracować, rozmawiać. Im bardziej my, jako kapłani, otworzymy się na ludzi, tym chętniej ludzie otworzą się na nas, na Jezusa.

To ważne i ciekawe, co mówisz. Nasi fizjoterapeuci często mówią, że w zasadzie powinni być jeszcze kapłanami. Ludzie, którzy przychodzą na rehabilitację, często potrzebują rozmawiać podczas zabiegu, dzielić się własnym życiem, cierpieniem, pytają o wiele, często duchowych, kwestii. Nagle ta terapia staje się doświadczeniem wręcz duchowym. Siłą rzeczy fizjoterapeuta nie jest przygotowany do prowadzenia tak głębokich rozmów, musi skupić się przede wszystkim na ciele.

Tak, kapłaństwo musi być żywe i bliskie, codzienne. Mam nadzieję, że będę je mógł tak właśnie realizować. Chciałbym po święceniach wrócić do Kamerunu i pracować w ośrodku w Moudzie.

Tego Ci życzę!



GŁOGÓW – doświadczenie wiary i jedności

Apollinaire Domara SOdC

Razem z bratem Wojtkiem i siostrą Anną Marią (odpowiedzialną za gałąź żeńską wspólnoty) wyruszyliśmy 20 grudnia z Rzymu do Głogowa, aby w Polsce spędzić święta Bożego Narodzenia. Bardzo pragnęliśmy tego spotkania – głogowska wspólnota najbardziej odczuła brak naszego moderatora ks. Janusza Malskiego, który odszedł do Pana 5 paź-

dziernika 2020 roku. Ta świąteczna wizyta miała zatem wyrażać także naszą bliskość i współczucie.

To było przepiękne doświadczenie braterstwa. Wspólnota, na wzór ewangeliczny, jest bardzo otwarta na wszystkich, którzy odwiedzają ośrodek, pukają do ich drzwi. Pamięć o ks. Januszu jest tu dotykająca – czułem ją bardzo wyraźnie. Przez ostatni

ŚWIADECTWO

Tłumaczenie Izabela Rutkowska

rok mocno współpracowaliśmy, towarzyszyłem mu też w sierpniowej podróży po Polsce. Każdy zakątek głogowskiego domu przypominał mi więc jego obecność – jest ona bardzo żywa i ważna w moim życiu. Był on naprawdę kapłanem według Serca Jezusowego. Wszyscy doceniamy jego osobiste zaangażowanie w dzieło i wspieranie nas na tej powołaniowej drodze.

Podczas tego pobytu w Głogowie opowiedziano nam o pewnym epizodzie, który wydarzył się tu podczas słynnej wigilijnej (tak wspaniale i uroczyście celebrowanej w Polsce). Według tradycji, gdy przygotowuje się tę kolację, stawia się na stole zawsze dodatkowe nakrycie – dla ewentualnego gościa. Pewnej wigilii, zanim wszyscy zasiedli do stołu, zabrzmiał dzwonek do drzwi – i rzeczywiście zjawił się gość. Był to bezdomny, który prosił o coś do jedzenia. Otworzył mu ks. Janusz, który bez chwili namysłu zaprosił go do środka. Pan był bardzo zaniedbany, brudny – trudno, aby w tym stanie zasiadł do wigilijnego stołu. Ks. Janusz zatem zarządził, aby ów nieoczekiwany gość najpierw się u nich wykąpał, przygotowano mu też nowe rzeczy do przebrania. Wigilia tamtego roku była więc szczególna, a święta tym bardziej nabrały bożonarodzeniowego znaczenia. Za pomocą tego czynu, jak i innych podobnych gestów, ks. Janusz uczył nas uważności na drugiego człowieka przeżywaną na co dzień.

Poza świętowaniem w gronie wspólnoty miałem możliwość uczestniczyć w parafialnych spotkaniach – służyć do Mszy św. w parafii. Była to okazja do odwdzięczenia się proboszczowi – ks. Rafałowi Zendranowi – za tak serdeczną gościnę i przyjęcie, a także za ofiarę złożoną dla naszej misji w Afryce.

Miło też wspominać spotkanie z parafianami w Kwielicach oraz podobną ofiarność proboszcza parafii pw. Św. Michała Archanioła – ks. Radka Horbatowskiego.

„Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym



w Chrystusie Jezusie. Jeżeli zaś należycie do Chrystusa, to jesteście też potomstwem Abrahama i zgodnie z obietnicą – dziedzicami” (Ga 3, 28).

Myślę, że to bardzo odpowiedni cytat, ponieważ tu, w Polsce, mimo że jestem obcy (inny język, inna kultura i rasa), mogłem bez problemu zjednoczyć się ze wspólnotą. To Chrystus sprawia, że wszyscy jesteśmy jednym ludem. Choć tak nas wielu i tak jesteśmy różnorodni, pochodzimy od tego samego Ojca.

Głogów to dla mnie miejsce świadectwa, miasto, gdzie wiara nie tylko żyje, ale jest przeżywana na co dzień. I tak jak św. Piotr chciał dłużej zatrzymać się na Górze Przemienienia, tak i ja chciałbym tu kiedyś wrócić i dłużej pobyc.

Niech Pan zachowa nas na zawsze w swojej miłości!

Kochana Siostró Elviro!

Beata Dyko SOdC



30.12.2020 roku – tego dnia mija 11.
rocznica odejścia do Pana naszej
Współzałożycielki Siostry Elwiry Miriam
Psorulli. To właśnie 30 grudnia 2009 roku
Pan powołał Ciebie do siebie. Pamiętamy,
jakby to było wczoraj...

Jesteśmy wdzięczni Panu Bogu za dar życia s. Elwiry, za jej miłość do Serca Pana Jezusa i Maryi Niepokalanej, za jej świadectwo żywej i głębokiej wiary z Panem Bogiem, za jej niestrudzony zapał, entuzjazm i za jej wytrwałość w szerzeniu charyzmatu Błogosławionego Luigiego Novarese. Dla nas była żywym drogowskazem w wędrówaniu ku świętości. Siostra Elwira była również częstym gościem w naszym Domu, który był bliski jej sercu. Te wszystkie wizyty pozostaną na zawsze w naszej pamięci, te wszystkie rozmowy przy stole, ale też na osobności... Mamy za co dziękować Panu Bogu. Siostra Elwira w swoim ostatnim wpisie, na łamach włoskiej „Kotwicy” z 2001 roku, napisała:

„Kontynuujcie swoje apostołstwo z entuzjazmem, z miłością i stanowczością. Apostolat jest wymagający. Nie można być częścią CVS i pozostać niepewnym w działaniu. Musimy pracować, współpracować, aby rozszerzać go wszędzie. Jeśli to męczące, ściśnijcie mocno Krucyfiks, poproście Go o pomoc i siłę, by kontynuować. Naszą pracą jest siać, siać gdziekolwiek możemy dotrzeć, siać w ciszy i modlitwie. Siejemy w zmęczeniu i cierpieniu. Tak jak to było kiedyś i u ks. Novarese i u mnie. Ale potem zbiera się radość. Dlatego trzeba wierzyć w owoce własnego krzyża zjednoczonego z krzyżem Chrystusa.

POSTAĆ

Fotografie z archiwum wspólnoty



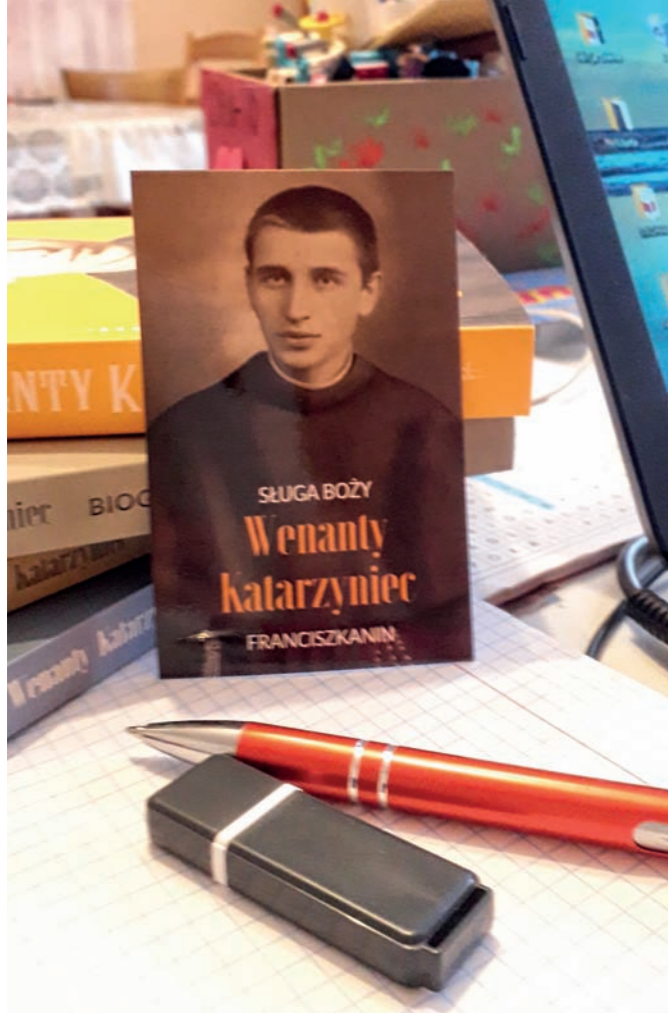
Nie przejmujcie się wysiłkami, nie przejmujcie się wyrzeczeniami, ale pracujcie razem, pomagając sobie nawzajem i wspierając się wzajemnie. Idźcie pozyskiwać chorych przez chorych. Tylko w ten sposób będziecie mogli ponownie zwiększyć liczbę członków. Twórzcie grupy i pozostajcie zjednoczeni, pomagając sobie nawzajem i wspierając się modlitwą. Podążajmy za przykładem ks. Novarese, który przed każdym działaniem bardzo dużo czasu poświęcał na modlitwę. Tak i Wy czyńcie. Liczę na Was, Drodzy Przyjaciele, na rozrastanie się „waszego” apostołatu i na Wasze modlitwy za mnie. Tak bardzo Was kochałam, nigdy Was nie zapomnę, zawsze będę przy Was”.

Te słowa są dla nas jakby jej duchowym testamentem, dlatego chcieliśmy je przywołać na nowo, aby wzbudzić w każdym z nas, z Was, drodzy członkowie i sympatycy CVS, nowy entuzjazm, nową miłość i tę stanowczość, która – zwłaszcza dziś – jest potrzebna do kontynuacji dzieł zapoczątkowanych przez bł. Luigiego Novarese i siostrę Elwirę Miriam Psorullę.

Droga Siostró Elwiro!

Dziś wierzymy, że jesteś tuż obok Błogosławionego Luigiego Novarese, wszystkich Siewców Nadziei, ks. Janusza i wielu innych naszych braci i siostr, którzy byli związani z dziełami bł. Novaresego, że wspierasz nas w naszych codziennych zmaganiach, a także wypraszasz u Boga potrzebne łaski do kroczenia drogą ku świętości, ukazując i przypominając nam, że akceptacja cierpienia, własnej choroby i niepełnosprawności może być dla nas trampoliną do nieba, a ofiara z naszego cierpienia może pomóc nie tylko nam, ale i drugiemu człowiekowi w Zbawieniu.

Wierzymy, że dziś mówisz do każdego z nas: „pełni ufności krocicie do przodu... wstawiennictwo Niepokalanej i Błogosławionego Luigi Novarese będą Wam towarzyszyć na każdym kroku”. Dziękujemy za wszelkie dobro otrzymane od Ciebie, Siostró Elwiro.



„Będę działał po śmierci”

O dziełach Sługi Bożego Wenantego Katarzyńca

Anna wierząca w Świętych obcowanie

Ojciec Wenanty Katarzyniec (franciszkanin) zmarł 31 marca 1921 r., mając 32 lata, w siódmym roku kapłaństwa. W tym roku przypada więc setna rocznica śmierci tego cichego sługi Bożego. Swoim współbraciom podkreślał, że wiele robi, ale... „po śmierci”.

Moja koleżanka mi go poleciła. „Módl się do niego, działa cuda” – rzekła. A ja posłuchałam, choć bardziej byłam wpatrzona w postać św. Józefa. Jakie było moje zdziwienie, gdy czytając życiorys, dowiedziałam się, że Wenanty Katarzyniec miał dane na chrzcie imię Józef. W ten sposób franciszkanin skradł moje serce.

Wenanty Katarzyniec urodził się 7 października 1889 r. w Obydłowie koło Kamionki Strumiłowej, 46 km od Lwowa. Rodzina Katarzyńców była bardzo uboga, a rodzice pogodni i szczęśliwi. Niedaleko ich domu znajdowała się drewniana kapliczka

poświęcona św. Franciszkowi. Józef Katarzyniec często się przy niej modlił i śpiewał pobożne pieśni. Jeszcze bardziej zatopił się w modlitwie po I Komunii Św. Nauczył się formułek po łacinie, aby móc służyć do Mszy Świętej.

Gdy Józef skończył szkołę, jego ojciec chciał, aby chłopiec został nauczycielem, a nie księdzem. Józef uczył się bardzo dobrze, udzielał korepetycji, a także rozwijał się duchowo (dzięki dyrektorowi szkoły). Poszedł do franciszkanów, ale nie został przyjęty do zakonu – najpierw miał zdać maturę i nauczyć się łaciny i... przyjść za rok. Uparty i pracowity Kat-

POSTAĆ



ryniec pojawił się po roku ze świadectwem z wyróżnieniem. Nie wypełnił woli rodziców, nie został nauczycielem, choć potem wychowywał w nowicjacie młodych ludzi.

Bracia, którzy spotkali ojca Wenantego (takie imię przyjął), podkreślali, że był bardzo skromny, pokorny i „wyrobiony duchowo”. Nigdy na nic się nie skarżył, ale pokornie wypełniał wolę przełożonych.

Wenanty wiele razy wspominał, że szybko chciałby umrzeć i połączyć się z Bogiem. Zmarł 31 marca 1921 r. w Kalwarii Pałacowskiej. Tam jest złożone jego ciało.

Święty Maksymilian Kolbe, serdeczny przyjaciel Wenantego, tak określił jego duchowość: „Wenanty nie silił się na rzeczy nadzwyczajne, ale zwyczajne wykonywał w sposób nadzwyczajny”. Święty wiele razy powtarzał, że Wenanty pomógł mu finansowo, już po śmierci.

Ja modliłam się nowenną do św. Wenantego o ósmym dniu nowenny. Chwała Panu! Słyszałam, że Wenanty pomaga w wielu sprawach dnia codziennego, nawet kłopotach finansowych, szukaniu pracy czy rozwiązaniu trudnych problemów. Teraz szturmuje Niebo i Wenantego o uzdrowienie mojego syna z nowotworu kości. Kult o ojcu Wenantym postanowiłam rozszerzyć, ponieważ wiele działa w moim życiu, przemieniając je.

Dobrze jest mieć wokół siebie gromadkę Świętych, którzy są w komunii z Tobą, ze Mną, z Nami. Bóg wyraźnie wskazuje „pomocników”, którzy jednoczą się w miłości z Bogiem dla dobra człowieka.

*Módlmy się o dar beatyfikacji dla Wenantego.
Ojciec Wenanty módl się za nami.*

MODLITWA O BEATYFIKACJĘ

**Boże w Trójcy Jedyny,
bądź uwielbiony
za wszelkie dobra,
którymi napełniłeś sługę Twego
Wenantego;
on przez życie według
rad ewangelicznych
i gorliwą postugę kapłańską
w Kościele
stał się przykładem
dla Twoich wiernych.
Wynieś, Panie, tego sługę Twego
na ołtarze,
abyśmy lepiej mogli Tobie służyć,
mnie zaś udziel łaski,
o którą pokornie proszę
za jego wstawiennictwem.
Przez Chrystusa Pana naszego.
Amen.**

Nowenna do sł. Bożego Wenantego –
na stronie internetowej:
<https://wenanty.pl/nawenna>

Z depresji do wiary

Beata Dyko SOdC

Czas, w którym żyjemy, w dalszym ciągu panujące obostrzenia, u niektórych osób mogą wywołać stany depresyjne albo wprost depresję. Izolacja, samotność, pozostanie w domu... to wszystko sprzyja takiej chorobie jak ta. Wiele mitów można usłyszeć na temat depresji, a choroba ta jest straszną chorobą i jeśli nie będzie można sobie z nią poradzić lub nie trafi się do dobrego psychiatry czy psychoterapeuty, to może być, niestety, różnie. Dlatego z ciekawości, ale też myśląc o tym wszystkim, sięgnęłam po lekturę książki *Z depresji do wiary* Milly Gualteroni. Ktoś może pomyśleć – ale sobie wybrała pozytywną lekturę... A jednak. Bardzo pozytywną.

Jest to przede wszystkim świadectwo życia sławnej, włoskiej dziennikarki, u której zdiagnozowano depresję, gdy miała 19 lat. Dwa razy do roku popadała w głęboką depresję, miała za sobą trzy próby samobójcze i tak chodziła od psychiatry do psychiatry, jednocześnie starając się żyć normalnie i realizować zawodowo. Okazuje się, że potrafiła bardzo dobrze grać przed innymi, uśmiechać się, być towarzyską – zawsze do czasu, dopóki nie przychodziły momenty krytyczne, pojawiające się jak w zegarku o tej samej porze roku.

Czytając to, zdałam sobie sprawę, jak ważne jest trafienie do dobrego lekarza, który nie będzie ciebie traktował jak jakiś przypadek czy jednostkę chorobową, ale przede wszystkim jak człowieka. Autorka sama o tym pisze w ten sposób: „dzisiaj nagłące staje się pytanie, czy pomocny jest system leczenia, który redukuje pacjenta do objawów jego choroby – zamiast roztrzącać nad nim opiekę jako nad całościowo pojętą osobą...” (s. 208).

Okazało się, że pierwszy lekarz, u którego była, postawił błędną diagnozę, nie wchodząc w szczegóły jej historii życia i tak przez prawie 30 lat przyjmowała lek, który tylko nasilał skutki depresji w momentach krytycznych, a w pozostałe dni nie wyciszał choroby, tylko zwyczajnie utrzymywał ją na tym samym poziomie. Właśnie po 30 latach, kiedy miała za sobą trzecią próbę samobójczą (a był to także czas powrotu do wiary, o czym za chwilę), trafiła do lekarza, który jak po nitce do kłębka dotarł do źródła problemu. Okazało się, że czas, kiedy miała najgorsze stany depresyjne, to były dni–rocznice tragicznych śmierci w jej rodzinie. Wiele lat wcześniej, najpierw brat, a kilka miesięcy później ojciec, popełnili samobójstwa, a ona, jako młoda dziewczyna, nie umiała tego przeżyć, nie przeszła odpowiedniej terapii, która pomogłaby jej poradzić sobie z takimi traumami.

Nie jestem lekarzem, więc to są tylko moje wnioski i pisząc to, całkowicie opieram się na tej prawdziwej historii, ale wiem z własnego doświadczenia, kiedy

z czymś nie mogłam sobie poradzić, że jeśli w sytuacjach, które są dla nas trudne, nie nauczymy się z nimi radzić, nie poprosimy o pomoc, a będziemy udawać przed innymi, że wszystko ok, jednocześnie cierpiąc wewnątrz to w pewnym momencie pękniemy lub jak to miało miejsce w przypadku tej dziennikarki, będziemy mieli silne załamania a wręcz stany depresyjne.

Wracając do książki – w końcu, po kilkudziesięciu latach, uzależniona od leku, który zażywała przez te wszystkie lata, trafiła na właściwego lekarza, który pomaga jej wyjść z uzależnienia, a także przepracowuje z nią te dwa tragiczne wydarzenia z życia i późniejsze konsekwencje z tym związane i dalszą historię życia. Wtedy tak pisała o opiece jakiej doświadczyła od tego lekarza: „Opiekować się oznacza być po ludzku blisko cierpiącego, a dopiero potem wykorzystywać wiedzę medyczną. Wiedza naukowa jest jedynie narzędziem w służbie człowiekowi” (cyt. str. 208). Jakie to jest ważne, a jednocześnie bliskie naszemu charzmatowi: **widzieć osobę a nie chorobę!**

Po śmierci brata i ojca Milly całkowicie odeszła od Boga. Nie mogła zrozumieć, jak Bóg mógł pozwolić na to, by dwie najbliższe jej osoby targnęły się na swoje życie i pełna gorczy postanowiła, że nie chce mieć nic wspólnego z Bogiem. Odchodząc od Boga, odrzuciła wszystkie normy moralne. Uciekała w seks, związki z żonatymi mężczyznami, robiła wszystko to, by zagłuszyć ból, który miała głęboko w sobie, a o którym z nikim nigdy nie rozmawiała.

W pewnym momencie zaczęły pojawiać się pytania... w tym pytania o Boga i zaczęła szukać, na początku nieudolnie i nieświadomie, drogi powrotu do Boga.

Jednym z momentów znaczących w temacie wiary był czas, kiedy przeszło jej przez myśl, że być może depresja to powołanie... tylko jeszcze nie potrafiła odczytać: powołanie do czego? Dzięki ludziom, których Bóg sam zaczął stawiać na jej drodze, zaczęła powolutku zbliżać się do Boga. Zamieszkała w jednej wspólnoty, bo będąc znaną dziennikarką, została poproszona o redakcję i publikację listów napisanych przez jedną z sióstr wspólnoty i tak czy-



tając, uczestnicząc w życiu wspólnoty, zaczęła zbliżać się do Boga i odmieniać życie. A Bóg cierpliwie na nią czekał. Odkryła, że: „wielką rzeczą jest to, że Chrystus zechciał narodzić się w stajni, ale jeszcze większą jest to, że wiele razy rodzi się na nowo w stajni naszych nieczystych umysłów, zstępując do nich, by wyprowadzić je z zamętu” (cyt. str. 156).

Odkrywając, że Chrystus narodził się też dla niej, jeszcze bardziej chciała zbliżyć się do Niego. Dodam, że już wtedy odstawiła leki, więc stan psychiczny też powoli się stabilizował.

„Miałam stopniowo pojąć sens tego symbolu przemiany, który wskazuje, że przyjęcie cierpienia, czyli krzyża, jest drogą ku pełni życia przeżywanego w radości i pokoju. Pod warunkiem, że respektuje się przymierze, które zawarł z nami wszechmocny Stwórca. Pod warunkiem, że akceptuje się ból przemiany...” (cyt. str. 159).

Jakie to jest bliskie nam, rodzinie Bł. Luigiego Novarese. Akceptacja cierpienia jest kluczem do lepszej jakości naszego życia. Akceptacja cierpienia a jednocześnie ofiarowanie tego cierpienia z pewnością jest drogą nie tylko do naszego zbawienia, ale również pomocą innym w dostaniu się do nieba. Ona dopiero to wszystko odkrywała. Pan pokazał jej, że podczas jednej z prób samobójczych to ON sam ją uratował: „wyciągnąłeś swoją rękę, a ja ją złapałam. Rękę wybawiającą, chociaż pełną cierni, jak te okrywające jeżynę [którą złapała jak się próbowała utopić], ale także jak te u Twojej korony” (cyt. str. 246).

To było kolejne z diametralnych odkryć, które pomogły jej w powrocie do wiary. Więcej nie będę pisać. Myślę, że wystarczająco wiele napisałam o samej książce i tym, na co ja zwróciłam uwagę.

Każdy może odebrać ją na swój sposób – wystarczy tylko po nią sięgnąć i zwyczajnie przeczytać, bo naprawdę warto. Mi osobiście wiele pokazała i cieszę się, że po nią sięgnęłam. A na koniec chciałybym zacytować słowa z zakończenia książki, napisane przez autorkę, które napętniły mnie radością i utwierdziły w tym, że jako chrześcijanie tylko w ten sposób możemy dojść do Zmartwychwstania.

„Teraz wiem, dzięki tajemnicy Krzyża, że nie ma zbawienia dla duszy, które nie przechodziłoby nieuchronnie również przez cierpienie ciała podczas naszej podróży na ziemi. Teraz wiem, że trzeba wejść na Golgotę, aby dojrzeć cudowny, jaśniejący poranek Zmartwychwstania” (str. 246).

(książka Milly Gualteroni, „Z depresji do wiary” – świadectwo życia stawnej dziennikarki, wydaw. Święty Paweł, 2015 r.).

Módlmy się o uzdrowienie

Wydawnictwo Jezus, Ufam Tobie (JUT) istnieje na rynku wydawniczym od lipca 2009 roku.

Od samego początku za nadrzędny cel postawiliśmy sobie szerzenie słów Chrystusa mających odzwierciedlenie w nauczaniu Kościoła. Również nasza nazwa bezpośrednio nawiązuje do misji, jaką sobie obraliśmy.

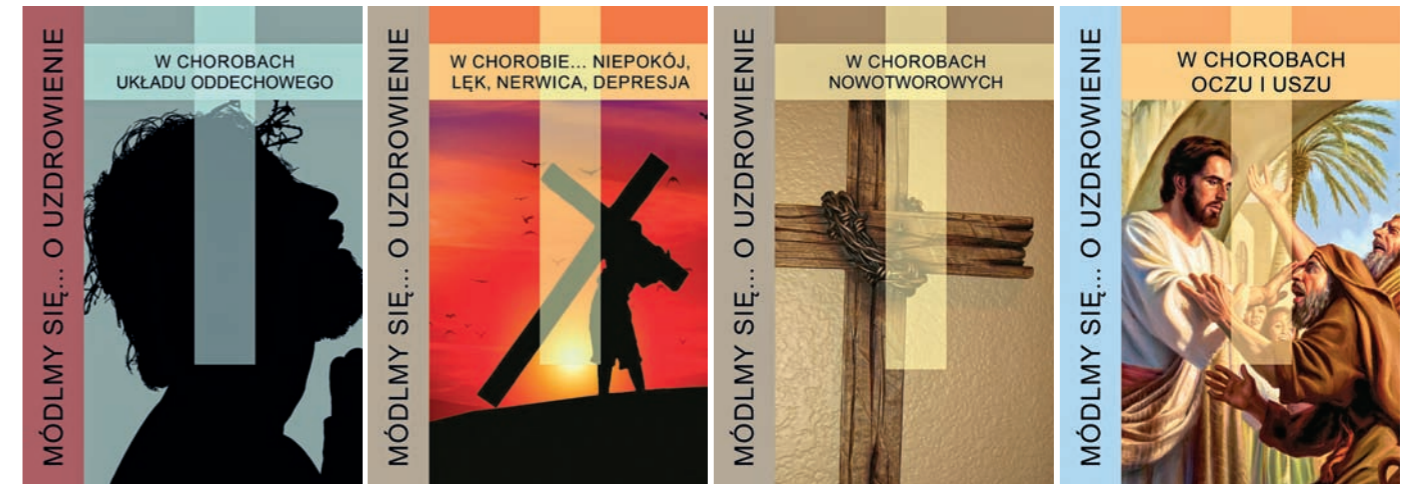
Dlatego też znalazły się w niej słowa „Jezus, ufam Tobie” umieszczone na obrazie Jezusa Miłosiernego.

Naszym pierwszym sukcesem okazał się cykl modlitewników *Módlmy się...*, wśród których można odnaleźć zbiory modlitw do: Jezusa, Matki Bożej, świętych i błogosławionych, w różnych potrzebach oraz koronki, różańce i nabożeństwa.

W ostatnim czasie poszerzyliśmy naszą ofertę o osiem modlitewników z serii *Módlmy się... O uzdrowienie*. Obecnie zostały wydane cztery z nich: *W chorobach oczu i uszu*, *W chorobie... Niepokój, lęk, nerwica, depresja*, *W chorobach nowotworowych*,

W chorobach układu oddechowego. Wkrótce dostępne będą także modlitewniki: *W chorobach dziecięcych*, *W bezpłodności*, *W chorobach układu ruchu* oraz *W chorobach skóry*.

Każdy z nich składa się z krótkiego wprowadzenia, które opiera się na słowach zaczerpniętych z Pisma Świętego. W przedstawionych fragmentach czytamy przede wszystkim o dokonanych przez Jezusa uzdrowieniach z poważnych chorób, na które ludzie często cierpieli już od chwili narodzin – o przy-



wróceniu wzroku, słuchu, mowy czy sprawności fizycznej (uzdrowienie chorych, sparaliżowanych). W chorobach i różnych dolegliwościach możemy przyzywać pomocy świętych i błogosławionych, dlatego dalsza część każdej z książeczek zawiera biogramy orędowników, do których warto zwrócić się w konkretnej potrzebie. Poza krótkim życiorysem, zamieściliśmy modlitwy do wybranych świętych i błogosławionych, którzy patronują osobom cierpiącym na różnego rodzaju choroby. Ponadto na końcu części modlitewników można odnaleźć modlitwy ogólne dla chorych, które są skierowane do Boga oraz Matki Najświętszej. Całość książeczek uzupełniają barwne ilustracje świętych orędowników.

W przykładowym modlitewniku – *W chorobach oczu i uszu* – oprócz wstępu opartego na fragmentach z Ewangelii św. św. Mateusza, Marka i Jana, możemy przeczytać o Archaniolu Rafale, św. Franciszku z Asyżu, św. Hieronimie ze Strydonu, św. Klarze z Asyżu, św. Łucji z Syrakuz, św. Otylii z Hohenbourga oraz św. Franciszku Salezy i św. Pawle Apostole, czyli o patronach w chorobach wzroku lub słuchu. Biogramy powiedzą nam, dlaczego akurat ci święci są przyzywani w tych okolicznościach, a modlitwy w postaci krótszych i dłuższych formuł, litanii oraz pieśni mogą pomóc w zbliżeniu się do nich i wyproszeniu ich pomocy.

Do naszych najnowszych publikacji, która koresponduje z treścią owych modlitewników, jest książka pt.: *Jeśli wierzysz, możesz być uzdrowiony. Leksykon świętych i błogosławionych patronów w chorobach*, autorstwa ks. prof. dr hab. Artura Katolo. Pozycja składa się ze wstępu ks. bpa Jana Sobiły, słów odautorskich, a jej główną część stanowią przejrzyste i rzeczowe historie życia wybranych świętych i błogosławionych orędowników w najróżniejszych chorobach i dolegliwościach. Opisane przez autora cuda dokonane za ich przyczyną niosą pocieszenie i dają nadzieję, że święci i błogosławieni mogą przyczynić się także do naszego uzdrowienia. Opisy zawarte w Leksykonie ubogacają modlitwy za wstawiennictwem patronów oraz ich wizerunki. Całość prezentuje czytelny i jednolity schemat graficzny.

Tak o tej interesującej lekturze we wstępie pisze ks. bp Jan Sobiło: „Tej lektury (...) potrzebują wszyscy: zarówno cierpiący, dla których ta pozycja będzie pomocą w godnym i świętym przeżywaniu choroby, jak i pedagodzy, katecheci, kapelani szpitalni oraz my, wspólnota wierzących, bo każdy z nas ma udział w zbawianiu świata poprzez cierpienie fizyczne czy duchowe. Umacniająca jest świadomość, że inni przeszli tę drogę, nie zachwiali się i teraz mogą nam towarzyszyć”.



Cierpienie Józefa

cz. 3

Okoliczności narodzin Jezusa w Betlejem

Mieczysław Guzewicz

Gdy przyglądamy się trudnym doświadczeniom, z jakimi borykali się rodzice Jezusa, dostrzegamy różnorodność ról, jakie mieli do spełnienia. Historia ucieczki do Egiptu pokazuje, jak wielkimi

niepokojami musiał być targany św. Józef. Podobnie w czasie wędrówki do Betlejem i pobytu w tej miejscowości – to on odpowiedzialny był za zapewnienie bezpieczeństwa swojej żonie i dzieciątku.

Wywiązał się z tego doskonale, ale nie możemy wątpić w to, jak trudne były to dla niego chwile. Św. Mateusz opisuje to wydarzenie w taki sposób:

„Gdy oni odjechali, oto anioł Pański ukazał się Józefowi we śnie i rzekł: «Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu; pozostań tam, aż ci powiem; bo Herod będzie szukał Dziecięcia, aby Je zgładzić». On wstał, wziął w nocy Dziecię i Jego Matkę i udał się do Egiptu; tam pozostał aż do śmierci Heroda. Tak miało się spełnić słowo, które Pan powiedział przez Proroka: „Z Egiptu wezwalem Syna mego” (Mt 2, 13–15).

W historii dzieciństwa Jezusa opisana scena poprzedzona jest relacją z odwiedzin Mędrców ze Wschodu. Nie będziemy się na niej zatrzymywać, choć dla prawdy o Dziecku, które narodziło się w czasie tej niezwykłej nocy, jest to szczególnie istotny. Ważne jest natomiast w tym miejscu rozumienie skali zagrożenia, jakie się pojawiło, a do którego bezpośrednim impulsem była wizyta tych dziwnych pielgrzymów. Herod Wielki miał świadomość, że głęboko w sercach i umysłach lud pragnie nadejścia Mesjasza. Nie interesował się tym zbyt, aż do tej chwili, gdy przybysze z Persji wyraźnie oznajmili, że szukają nowo narodzonego króla żydowskiego. Ogarnięty żądzą władzy i chorobliwym lękiem o swoją pozycję, węszył wszędzie zagrożenia i brutalnie likwidował przeciwników. Jego obsesja doprowadziła go do zamordowania żony, trzech synów, szwagrów, braci, a także wielu innych osób, w tym jednego z arcykapłanów.

Po narodzinach Jezusa Maryja i Józef nie musieli się spieszyć z powrotem do Nazaretu. Mogli nawet brać pod uwagę ewentualność pozostania w Betlejem, tym bardziej że Józef miał tu rodzinę, prawdopodobnie dosyć dużą, a zawód cieśli, stolarza w tamtych czasach umożliwiał zdobywanie godziwych środków na utrzymanie. Zresztą po wizycie Magów ich sytuacja materialna uległa znacznej poprawie. Wszak, niezależnie od ich głębszej sym-



boliki, otrzymali bardzo cenne podarunki. W wielu źródłach można znaleźć wzmiankę, że Jezus mógł mieć już około dwóch lat, a skromna grota została przebudowana i doprowadzona do stanu wygodnego lokum, kiedy jak grom z jasnego nieba spadła ta wiadomość: „Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu”. Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Wszystko to jawi się dla młodych małżonków jako coś skrajnie dziwnego, wręcz szokującego. Byli ubogimi ludźmi, trzymającymi się – mówiąc dzisiejszym językiem – z dala od polityki, nierzucającymi się w oczy, pokornie spełniającymi obowiązki małżeńskie, rodzicielskie, religijne i społeczne. Jako osoby o nieprzeciętnej duchowości raczej nie mieli żadnych wrogów. Owszem, słyszeli zapewne o nieobliczalności lokalnego władcy, jego problemach psychicznych

i ich skutkach, ale nie znajdowali żadnego powodu, z jakiego mogli mu się narazić. W dodatku słowa anioła wskazują kierunek „do Egiptu”. Kraj ten Żydom nigdy nie kojarzył się dobrze. Najważniejsze wydarzenia w historii narodu wybranego, obecne także w obrzędowości religijnej, mocno związane były z niewolą pod rządami faraonów.

Jako miejsce, do którego z dużym prawdopodobieństwem mogli się udać, wskazuje się Aleksandrię. Była w niej bardzo duża diaspora żydowska, umożliwiającą w miarę stabilne funkcjonowanie.



Wymieniane jest także starożytne Heliopolis, obecnie dzielnica Kairu. Do przebycia mieli około 600–700 kilometrów. Najpierw przez teren górzysty, następnie przez pustynię. Zapewne nie zdawali sobie do końca sprawy z dystansu, jaki mieli pokonać już we troje. Niewykluczone, że nie poruszali się głównymi traktami i nie korzystali z zajazdów. Mogli przypuszczać, że przebiegły Herod wysłał za nimi pościg. Z tego powodu możliwe, że wędrowali w nocy. Idąc pieszo, po bezdrożach, po ciemku, z małym dzieckiem, pokonywali nie więcej niż około 20 kilometrów na dobę.

W tej uciążliwej podróży mogli więc spędzić kilkadziesiąt dni, a nawet kilka miesięcy. Szli w nieznaną, zmagali się z trudami wędrowni, niewykluczone, że odczuwali wewnętrzne rozterki, kiedy trwanie w postawie głębokiego zaufania musieli ciągle konfrontować z niesprzyjającą rzeczywistością. Kiedy dotarli na miejsce, zapewne dosyć szybko dowiedzieli się o dramacie, jaki rozegrał się w Betlejem po ich wyjeździe. Nie jest możliwe ustalenie dokładnej liczby zamordowanych chłopców. Komentarze podają, że mogło ich być około 30.

Świadomość ofiary, jaką zapłacili potomkowie króla Dawida za wybranie ich miejscowości na miejsce narodzin Syna Bożego, stała się dla Maryi i Józefa ciężarem na długie lata. Zapewne nierzadko, spoglądając na Syna, przypominali sobie, że wielu Jego rówieśników z Betlejem nie mogło cieszyć swoich rodziców obecnością, uśmiechem, niezgrabnym stawianiem pierwszych kroków, próbą wypowiedzenia niewyraźnych, dziecięcych

słów. Możliwe, że często o tym rozmawiali, zadawali pytania, mając świadomość, że nie znajdą na nie odpowiedzi. Przebywając w Egipcie, wiedzieli, że wiele wieków temu jeden z władców tej krainy kazał uśmiercać nowo narodzonych chłopców hebrajskich, jednak matemu Mojżeszowi, dzięki zrzeczności jego matki, udało się przeżyć. Wspominali noc Paschy, kiedy po przejściu Anioła Śmierci przelała się wielka ilość krwi pierworodnych potomków Egipcjan. To wszystko raczej nie wpływało na wyciszenie, nie rozświetlało przyciemnionych myśli.

Po kilku latach pobytu na obczyźnie Józef ponownie otrzymuje klarowne polecenie: „A gdy Herod umarł, oto Józefowi w Egipcie ukazał się anioł Pański we śnie, i rzekł: «Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i idź do ziemi Izraela, bo już umarli ci, którzy czyhali na życie Dziecięcia». On więc wstał, wziął Dziecię i Jego Matkę i wrócił do ziemi Izraela. Lecz gdy postyszał, że w Judei panuje Archelaos w miejsce ojca swego, Heroda, bał się tam iść. Otrzymawszy zaś we śnie nakaz, udał się w strony Galilei. Przybył do miasta, zwanego Nazaret, i tam osiadł. Tak miało się spełnić słowo Proroków: Nazwany będzie Nazarejczykiem (Mt 2, 19-23).

Sytuacja w Judei po śmierci Heroda Wielkiego wcale się nie poprawiła. Jego następca Archelaos nie był wcale łagodniejszy i sprawiedliwszy od ojca. Sensowniej było w tych okolicznościach zostać w Egipcie. W tym bogatym kraju Święci Matłonkowie osiągnęli już pewną stabilność finansową, nie musieli się lękać o bezpieczeństwo Syna, przebywali pośród rodaków, w każdy szabat mogli chodzić do synagogi. Dorastający Jezus zdobywał niezbędną wiedzę w szkole pod opieką mądrych rabinów. Bez wątplenia tęsknotę wywoływało wspomnienie świątyni jerozolimskiej, niemającej sobie równej w całym starożytnym świecie, nie tylko ze względu na piękno zewnętrzne, ale z powodu głęboko zakorzenionej wiary, że jest to miejsce przebywania Boga Jahwe. W Galilei pozostali także ich krewni, których pragnienie spotkania nie wygasło. Tęsknota za ojczyzną jest uczuciem raczej powszechnym w sercach osób przebywających daleko od rodzinnych stron. W czasie pobytu w Egipcie Maryja i Józef zapewne rozmawiali o powrocie, brali pod uwagę taką ewentualność, rozważali jej plusy i minusy. Uwzględniali też konieczność zmierzenia się z trudami podróży, o której myśl nie wywoływała radości. Wiedzieli, że nie będą już musieli wędrować po bezdrożach, że główne trakty są w miarę wygodne, nie brakuje na nich karawan, podróżnych, zajazdów. Jednak odległość, jaką mieli do pokonania, i niepewność zwią-

zana z rządami Archelaosa przemawiały za tym, aby odsunąć w czasie ewentualną decyzję o powrocie. I wtedy w życie Świętego Małżeństwa znowu bardzo konkretnie wkracza Bóg.

W każdym z tych przypadków uwidacznia się pewna charakterystyczna cecha. Józef otrzymuje bardzo krótkie polecenie, na wzór rozkazu wojskowego: „wstań, weź, idź”. Tak mówi dowódca do żołnierza. Niewiele jest tu jednak konkretów. Owszem, to przekaz bez problemu trafiający do męskiej natury. Mężczyzna potrzebuje jasnych komunikatów: „masz zrobić to i to”. Widzimy tu jednak jeszcze jeden ważny szczegół: Bóg obdarza Józefa wielkim zaufaniem, docenia jego mądrość, kreatywność, rozwagę. Wszelkie szczegóły, typu trasa, środek transportu, sprzęt, prowiant i gotówka – zostawia jemu. Bóg daje impuls, zostawiając swobodę wyboru, zapewniając jednocześnie, że będzie błogostawiał decyzje i posunięcia sprawiedliwego.

Nie mając wcale jasnej wizji przyszłości, w którą mają wkroczyć, Maryja i Józef zbierają niezbędny ekwipunek, objuczają osiołka, może dwa, i wyruszają przed siebie. Jest im o tyle łatwiej, że dokładnie nie znają cel, żywią nadzieję, że ich rodzinny domek jeszcze stoi i spodziewają się tam spotkać wielu bliskich, których bardzo dawno nie widzieli.

Nie można mieć wątpliwości, że w czasie tych wielu miesięcy wędrowania do Egiptu i powrotem do Nazaretu, kilku lat pobytu w obcym kraju, zmagania się o bezpieczeństwo i zapewnienie bytu materialnego, mimo wskazań otrzymywanych od Boga, Józef żył w wielkim napięciu i ze znaczącym obciążeniem psychicznym. Poziom poczucia odpowiedzialności za powierzony mu bezcenny skarb, w okolicznościach zagrożeń i niepewności, potęgował lęk, obawy, ludzkie niepokoje. Musiał to cały czas łączyć z trudem pracy i marszu. Poradził sobie z tymi wyzwaniem bardzo dobrze, ale płacił za to wielką cenę spalania się, ofiarności, umierania dla siebie.

NASZA PRZYSTAŃ

Nasza aktywizacja



Aktywizacja zawodowa jest ważnym elementem naszego Warsztatu Terapii Zajęciowej. Niestety, wszystkie praktyki u zewnętrznych pracodawców mamy zawieszona z przyczyny koronawirusa. Podczas praktyk zdobywamy nową wiedzę i umiejętności, które umożliwiają zdobycie odpowiedniego zatrudnienia w przyszłości. Nie poddajemy się i aktywnie uczestniczymy w zajęciach z zakresu aktywizacji zawodowej. Podczas tych zajęć grabimy liście, odśnieżamy teren, tworzymy CV, zdobywamy wiedzę teoretyczną

o tematyce różnych zawodów. Od niedawna posiadamy profesjonalny odkurzacz piorący, który umożliwia nam poznanie specyfiki prawidłowego czyszczenia różnych materiałów. Do tej pory wyczyściliśmy tapicerkę u nas w Warsztacie, a także w Domu Uzdrawiania Chorych w Głogowie. Dzięki tej wiedzy mamy możliwość zdobycia zatrudnienia np. w pralni czy myjni samochodowej. Ta nowa umiejętność sprawiła nam wiele radości, bo nie każdy ma możliwość doświadczyć pracy w tym zawodzie.



Tłusty Czwartek

„Powiedział Bartek, że dziś tłusty czwartek, a Bartkowa uwierzyła, dobrych pączków nasmażyła”. Na naszych Warsztatach tradycja tłustego czwartku jest wciąż żywa, mimo pandemii.

Czy wiecie, że tradycja tego święta sięga aż starożytnego Rzymu? Kto by pomyślał, że tyle tysięcy lat temu świętowano, jedząc pączki i tłuste potrawy. Czas ten związany był z odejściem zimy, a powitaniem wiosny. Pierwsze pączki nie były takie jak obecne – były słone. Słodki przysmak dotarł trochę później – z kuchni arabskiej. Zwyczaj jedzenia w tłusty czwartek pączków, zwanych pampuchami, zdomował się w Polsce już w XVII wieku.

Data tego dnia zależy od Wielkanocy – jest więc tak samo ruchoma jak Wielkanoc. Nie może wtedy zabraknąć potraw tłustych, smażonych racuchów, blinów, pampuchów, chrustów (zwanych też faworkami). Wierzono, że zjedzenie w tym dniu dużej ilości pączków będzie przyciągało bogactwo i powodzenie. Na naszych Warsztatach tradycja została zachowana, liczymy teraz na bogactwo.



Walentynki

W tym roku walentynki wyglądały nieco inaczej. Okres pandemii koronawirusa nie pozwolił nam na zorganizowanie dyskoteki. Postanowiliśmy więc uczcić to bardzo wesołe święto w inny sposób. Walentynki to czas miłości i przyjaźni. Święto to ma swoje korzenie zarówno w chrześcijaństwie, jak i w starożytnym Rzymie. Św. Walenty był biskupem – żył za panowania Klaudiusza II, który uważał, że małżeństwo nie sprzyja postawie dobrego żołnierza, dlatego też zakazał młodym mężczyznom żenić się. Miłości jednak nie da się tak łatwo zagłuszyć – śluby więc zawierano potajemnie. A pomagał parom nie kto inny, jak właśnie... św. Walenty. Gdy dowiedział się o tym cesarz Klaudiusz, kazał stracić Walentego 14 lutego 270 r. W taki oto sposób 14 lutego stał się Dniem Zakochanych, a ów święty biskup – jego patronem. Czas Walentynki to dzień szczególny – pamiętamy w nim o tych, których kochamy i z którymi się przyjaźnimy. W naszej Przystani też pamiętamy o osobach najbliższych naszemu sercu, także tych nieobecnych.



Podczas zajęć w pracowniach stworzyliśmy zadania do wykonania, które każdy z uczestników miał wykonać w domu. Uczestnicy brali również udział w pakowaniu paczków. Do osób, które nie mogą brać udziału w zajęciach, kadra zawiozła zapakowane paczki. Święto Walentynki spędziliśmy odświętnie ubrani, w reżimie sanitarnym, jednak z pamięcią o naszych przyjaciółach i najbliższych.



Wielki Post

Okres Wielkiego Postu rozpoczyna się w Środę Popielcową – kończy się wtedy czas karnawału i zabawy, rozpoczyna się okres 40 dni wyciszenia i refleksji. To szczególny czas dla nas, chrześcijan. Co roku razem odbywaliśmy rekolekcje. W tym roku jest to bardzo utrudnione. Możemy jednak dostrzec zupełnie inne możliwości przeżywania tego czasu. Możemy sami wśród naszych rodzin i przyjaciół dostrzec sens, który ze sobą niesie ten okres. Ten czas jest szczególny, sytuacja pandemii bardzo mocno uświadomiła nam sens cierpienia, uczucie pragnienia bliskości oraz siłę naszej wiary.

Czas Wielkiego Postu przeznaczmy na to, aby zatrzymać się, nie gonić. Zatrzymać się nad naszym

postępowaniem, które nie zawsze jest dobre w stosunku do bliskich, kolegów, koleżanek. Odkryjmy na nowo sens naszej wiary, sens cierpienia. Ukrzyżowany, a potem Zmartwychwstały Chrystus, pokazuje nam drogę, którą mamy kroczyć. Ukazuje nam drogę, nie zawsze łatwą i nie zawsze taką, którą chcemy podążać. Trudna sytuacja pandemiczna uniemożliwiła nam uczestnictwo we wspólnym przeżywaniu drogi krzyżowej, gorzkich żali, jednak możemy to uczynić wspólnie z rodziną w zaciszu własnego domu. Podczas Wielkiego Postu zatrzymajmy się i dobrze przeżyjmy ten czas, aby móc cieszyć się radością Wielkanocy.



Módlmy się o nadzieję

Potrzebujemy małych i większych nadziei, które dzień po dniu podtrzymują nas w drodze. Jednak bez wielkiej nadziei, która musi przewyższać pozostałe, są one niewystarczające. Tą wielką nadzieją może być jedynie Bóg, który ogarnia wszechświat, i który może nam zaproponować i dać to, czego sami nie możemy osiągnąć. Właśnie otrzymanie daru należy do nadziei.

Bóg jest fundamentem nadziei — nie jakikolwiek bóg, ale ten Bóg, który ma ludzkie oblicze i umiłowal nas aż do końca:

każdą jednostkę i ludzkość w całości. Jego królestwo to nie wymaginowane zaświaty, umiejscowione w przyszłości, która nigdy nie nadejdzie; Jego królestwo jest obecne tam, gdzie On jest kochany i dokąd Jego miłość dociera.

Tylko Jego miłość daje nam możliwość trwania w umiarkowaniu, dzień po dniu, bez utraty zapału, który daje nadzieja w świecie ze swej natury niedoskonałym. Równocześnie Jego miłość jest dla nas

gwarancją, że istnieje to, co jedynie mgliście przeczuwamy, a czego mimo wszystko wewnętrznie oczekujemy: życie, które prawdziwie jest życiem.

Pierwszym istotnym miejscem uczenia się nadziei jest modlitwa. Jeśli nikt mnie już więcej nie słucha, Bóg mnie jeszcze słucha. Jeśli już nie mogę z nikim rozmawiać, nikogo wzywać, zawsze mogę mówić do Boga. Jeśli nie ma już nikogo, kto mógłby mi pomóc — tam, gdzie chodzi o potrzebę albo

oczekiwanie, które przerastają ludzkie możliwości trwania w nadziei — On może mi pomóc. Gdy jestem skazany na całkowitą samotność... ale modląc się nigdy nie jest całkowicie samotny (*Benedykt XVI, Spe salvi, nr 31; 32*).

*„Daj mi poznać drogi Twoje, Panie,
i naucz mnie Twoich ścieżek!
Prowadź mnie według Twej prawdy i pouczaj,
bo Ty jesteś Bóg, mój Zbawca,
i w Tobie mam zawsze nadzieję”.*

Psalm 25



Od kwietnia „Kotwica” staje się kwartalnikiem. Oznacza to, że w ciągu roku będziemy wydawać **cztery numery**, a nie, jak dotąd – sześć. Najbliższy egzemplarz przyjedzie do Państwa w maju.

